



MELINDA CROSS



Kobieta z lustra

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Frances włożyła ostatnią jedwabną bluzkę do otwartej walizki, układając i wygładzając starannie rękawy. Kiedy już upewniła się, że się nie pogniotą, zatrzasnęła wieko. Westchnęła i odwróciła się w kierunku dużego lustra, żeby po raz ostatni skontrolować swój wygląd.

Pierwsze spojrzenie na odbicie w lustrze zawsze wywoływało w niej przestach. Ciągle jeszcze oczekiwała, że ujrzy małą Frannie - niepozornego trzpiota z rudymi mysimi ogonkami, w znoszonej sukience. I chociaż miała niezbity dowód, że ta mała dziewczynka zniknęła wiele lat temu, stale łapała się na tym, że szuka jej w tym odbiciu.

Spoglądała na siebie krytycznie i obiektywnie, przyjmując z aprobatą wizerunek skromnej i samodzielnej kobiety, który sobie wypracowała. Dawno już przekonała się, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Ludzie nie zadają sobie trudu, żeby dociekać, co się pod nim kryje. Od lat wykorzystywała tę wiedzę. Dzień, kiedy zamieniła tamte znoszone sukienki na kosztowne suknie i kostiumy kobiety rozpoczynającej karierę zawodową, był dniem, w którym świat biznesu otworzył przed nią swoje drzwi. Od tej chwili pięła się wytrwale ku górze.

Nikt nie wiedział, że ta Frances Hudson, która mieszkała w eleganckiej miejskiej kamienicy, przeniosła się tutaj wprost z ciasnego, nędznego poddasza; że ta szykowna, wyrafinowana kobieta to ten sam sprytny narwaniec, który wychowywał się bez ojca w jednej z najbiedniejszych dzielnic Bostonu. Nikt oprócz jej matki. Ale nawet matka z trudem rozpoznawała w tej kobiecie własną córkę.

Jasnorude mysie ogonki pociemniały w miarę upływu lat i kiedy wieczorem Frances przeciągała szczotką po włosach, spływały na ramiona niczym roztopiony karmel. Dzisiaj, jak co dzień, włosy były ciasno upięte w sztywny węzeł na karku, w tym samym surowym stylu co krój sukni, które nosiła. Zazwyczaj ubierała się na ciemno, ale powietrze tego poranka, wyjątkowo duszne i ciepłe jak na wczesnoczerwcową porę, skłoniło ją do wybrania lekkiego kremowego płócienka.

Zanim odwróciła się od lustra, zbadła jeszcze wyraz swoich oczu. Nie pasował on do wyrafinowanej kobiety, która zawsze panuje nad sobą. To były wyraźnie kocie oczy - jasnobrązowe, chwilami prawie bursztynowe, zdradzające, że pod chłodnym spojrzeniem kryje się natura gorąca i dzika, nie licująca z wizerunkiem kobiety z wytwornego towarzystwa. Zwłaszcza mężczyźni mieli się przed tym spojrzeniem na bacności. Frances nie spotkała jeszcze nikogo, kto wytrzymałby jej wzrok.

Przed wyjazdem w służbową delegację, która mogła zająć jej około dwóch tygodni, Frances pozwoliła sobie jeszcze na obchód całego domu - z prostej przyjemności, nie z konieczności. Przechadzanie się po pięknie urządzonych pokojach dawało jej zawsze poczucie komfortu. Przedmioty, które zdobywała w ciągu tych lat, świadczyły o zamożności i były miarą jej życiowego sukcesu. Mimo to czuła się wtedy zawsze jak mała Frannie z mysimi ogonkami, która wtargnęła jak intruz do eleganckiego domu, przestraszona lśniącymi antykami, cennymi reprodukcjami, wspaniałymi dywanami.

Weszła do sypialni. Przysiadła na lakierowanej toalecie, wyglądając starannie spódnice, po czym sięgnęła do telefonu. Kilka kilometrów stąd,

w innej dzielnicy Bostonu, od której dzieliły ją niemal lata świetlne przeżytego życia, w ciasnym mieszkaniu na drugim piętrze, w sąsiedztwie innego ciasnego mieszkania - odezwał się kobiecy głos.

- Cześć, mamó, tu Frances. Jak się czujesz? Matka nigdy nie mówiła, jak się czuje. Zamiast tego opowiadała o pani Booker, sąsiadce, której dokucza artretyzm w czasie czerwcowych upałów, o tym, jaka reżolutna zrobiła się mała Katy McFiel, i czy Frances wie, że stary pan Winger sprzedał w końcu swój sklepik mięsny na rogu i przeniósł się na emeryturę na Florydę? Zawsze opowiadała o sąsiadach, chociaż Frances wolałaby dowiedzieć się czegoś o niej samej.

Matka wyrecytowała wszystkie nowinki.

- Jak się czujesz, Frannie?

- Dobrze, mamó. Chciałam ci właśnie powiedzieć, że wyjeżdżam z miasta na tydzień, a może na trochę dłużej. Mam zbadać sprawę pożaru w New Hampshire.

- New Hampshire? - W głosie matki pojawił się chłód, jak zawsze, kiedy rozmawiały o pracy Frances. Nie oznaczało to, że nie była dumna z wytrwalej, pełnej determinacji wspinaczki do kariery w zespole Northeastern Casualty Insurance - ona po prostu nie pojmowała sensu tego wszystkiego. Dlaczego kobieta miałaby robić karierę zawodową, kiedy powinna mieć męża i dzieci?

- Tu chodzi o ogromne pieniądze, mamó. Nasz klient stracił prawie pół miliona dolarów na skutek pożaru ubiegłej nocy. Zazwyczaj sprawę takiego dużego odszkodowania powierzają inspektorom, mężczyznom.

- Powinnaś umawiać się na randki z tymi mężczyznami, a nie współzawodniczyć z nimi w pracy, Frannie.

Frances westchnęła i przewróciła oczami.

- Jeżeli udowodnię, że ktoś nieuczciwie rości sobie prawo do odszkodowania i zaoszczędzę w ten sposób pieniądze spółki, dostanę premię. Siedem procent to jest trzydzieści pięć tysięcy dolarów, mamó. - Wymówiła starannie każdą sylabę tej zawrotnej sumy, ale nie odniosło to żadnego skutku. Dla matki pieniądze nie były nigdy miarą sukcesu.

- No dobrze, jeżeli to przynosi ci szczęście, to ja też cieszę się razem z tobą, Frannie. Tylko czasami wolałabym, żebyś wybrała sobie zawód, który nie zerowałby na ludzkim nieszczęściu.

To było beznadziejne. Matka nigdy nie była w stanie pojąć, na czym polega zasada ubezpieczeń, choćby Frances tłumaczyła to za każdym razem.

- Mamó, to nie jest nieszczęście, jeżeli ktoś specjalnie niszczy swoją własność, żeby wyłudzić pieniądze za ubezpieczenie... to jest przestępstwo. Moja praca polega na tym, żeby upewnić się, czy czyjeś roszczenia do odszkodowania mają podstawy. Właśnie tym się zajmuję. Tym zajmują się wszyscy pracownicy towarzystwa asekuracyjnego, którzy prowadzą dochodzenia.

Matka westchnęła.

- No dobrze, przynajmniej będziesz miała jakieś urozmaicenie, wyjeżdżając z miasta. Mam jednak wiele sympatii dla tych ludzi, którzy ponieśli stratę.

Frances była zdziwiona, jak zawsze, że ta kobieta, którą świat traktował tak szorstko, potrafiła zdobyć się na tyle życzliwości dla innych.

- Zadzwoń do ciebie, jak wrócę, mamusiu. Uważaj na siebie.

- Frannie?

- Tak, mamusiu? - Frances znowu przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Jestem dumna z ciebie, wiesz?

- Wiem, mammo.

- Życzę ci, żebyś była szczęśliwsza.

- Jestem szczęśliwa, mamusiu. Naprawdę. - Mówiąc to czuła się tak, jakby próbowała przebić głową przysłowiowy mur. Matka nigdy nie uwierzy, że można być szczęśliwą, nie mając u boku męża i dzieci.

Odłożyła słuchawkę z westchnieniem, czując, że dzieli ją od matki dużo większy dystans niż rzeczywista odległość między nimi.

Pół godziny później siedziała już w czarnym, eleganckim samochodzie, kupionym po czterech latach oszczędzania, i jechała szybko na północny zachód od Bostonu, autostradą przecinającą sam środek New Hampshire. Ledwie dostrzegała soczystą zieleń czerwcowego pejzażu, mknąc po betonowym pasie. Dla niej pejzaż wiejski był nudnym pustkowiem, łączącym jedno miasto z drugim. Jako dziecko przysięgła sobie pewnego dnia, że ucieknie ze swojej ubogiej dzielnicy, i zrobiła to. To jasne, że była szczęśliwa. Dlaczego matka nie była w stanie tego pojąć?

Po dwóch godzinach jazdy prawie pustą autostradą pojawił się przed nią drogowskaz miasta, do którego zdążała. „Nowthen” - głosił napis, a Frances pomyślała, że to najbardziej idiotyczna nazwa miasta, jaką kiedykolwiek słyszała.

Zatrzymała się u szczytu wzniesienia i aż gwizdnęła cicho na widok pustej okolicy, rozciągającej się na prawo i lewo. Nigdzie ani śladu obecności człowieka.

W ciągu pięciu lat, jakie przepracowała w Northeastern Casualty, początkowo jako zastępca, później jako dyplomowany inspektor, jej teren

działalności związany był zawsze z najbliższym otoczeniem metropolii, jaką był Boston. Oczywiście, nieraz wysyłano już ją w teren, ale po raz pierwszy znalazła się na takim pustkowiu. Po tylu latach spędzonych w mieście to miejsce trochę ją przerażało.

Czuła się jak pionier, zagubiony w dziczy lasów i pastwisk, i po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że chyba zabranie w tę podróż najlepszych sukienek i pantofli nie było najszcześniejszym pomysłem. Oczami wyobraźni zobaczyła upiorną wizję jakiegoś farmera w kombinezonie, siedzącego na rozwalającej się werandzie, z naładowaną strzelbą na kolanach, i zaśmiała się nerwowo, broniąc się przed tym obrazem. Tacy ludzie nie ubezpieczają kawałka swojej posiadłości na pół miliona dolarów, pocieszała się. Gdzieś w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu była na pewno jakaś enklawa cywilizacji, prawdopodobnie wiejska posiadłość należąca do bajecznie bogatego człowieka, który chronił się w niej przed miejskim gwarem. Do niej należy teraz tylko odnalezienie tego miejsca.

Nowthen dzieliło od autostrady prawie dziesięć kilometrów. Frances dostrzegła początkowo tylko kilka rozproszonych farm, położonych w znacznym oddaleniu. Kiedy dotarła na szczyt wzgórza, z prawdziwą ulgą powitała widok miasteczka w dole - pełnego samochodów osobowych, ciężarówek, brukowanych ulic i miejskiego zgiełku; wszystko to dowodziło, że na szczęście i tutaj dotarł wiek dwudziesty.

Frances zatrzymała się przy pierwszej stacji benzynowej - jedynej w tym miasteczku, jak się później dowiedziała. Podjechała do dystrybutora i uśmiechnęła się do posiwiąłego mężczyzny, który podszedł do jej okna.

Zerwał czapkę z głowy gestem pełnym rutynowej uprzejmości, rzadko spotykanej w Bostonie.

- Do pełna, proszę - powiedziała, rozbawiona nieco podejrzliwym spojrzeniem, jakim obrzucił najpierw ją, a potem samochód. To jasne, że nie pasowała ani strojem, ani ekwipunkiem do tego małego miasteczka. - Szukam posiadłości Harmonów.

Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, dopóki nie skończył tankować, następnie uważnie przeliczył banknoty, które mu podała, jak gdyby podejrzewał, że chce go oszukać. Schował pieniądze i spojrzał na nią nieufnie.

- Czy Franklin wie, że pani przyjechała? - zapytał tonem, z którego należało wnioskować, że jeżeli Franklin nic nie wie, to za żadne skarby nie zdradzi jej, w jakim kierunku powinna się udać. Może był najbliższym przyjacielem Harmonów? A może w tym miasteczku wszyscy byli związani ze sobą jak rodzina?

- Jestem pewna, że wie - uspokoiła go Frances.

- Aha. - Na rozpogodzonej twarzy uśmiech wyrył setki zmarszczek. - No, skoro pani jest znajomą Franklina, na pewno będzie pani mile widziana w Nowthen. - Wsunął przez okno swoją czarną od smaru rękę i Frances nie miała innego wyjścia, jak ucisnąć ją ostrożnie. - Niech pani jedzie cały czas tą drogą około dziesięciu kilometrów i wypatruje długiej alei wysadzonej wiązami. Tam zaraz będzie skrzyżowanie z boczną drogą do posiadłości Franklina.

Frances podziękowała mu grzecznie, powstrzymując odruch wytarcia dłoni chusteczką, dopóki nie wyjechała na główną drogę.

Bez trudności odnalazła posiadłość. Sam dom, elegancki budynek z kolumnami w stylu kolonialnym, stał przy końcu długiej alei, która wiała się między szeregiem wybiegów dla koni, ogrodzonych białymi płotkami. Frances zauważyła w przelocie niskie, dobrze utrzymane budynki stajni.

To bardzo malownicze, pomyślała, jeśli ktoś to lubi. Nikt nie odpowiedział na metaliczny dźwięk kołatki przy drzwiach, więc Frances obeszła dom naokoło, a jej obcasy stuknęły głośno na płytkach chodnika. Ledwie zdążyła okrążyć narożnik domu, gdy zatrzymał ją widok budynku zniszczonego przez pożar. Spustoszenia dokonane przez ogień były tu szczególnie dotkliwe. I szczególnie podejrzane.

Podpalenie było ulubioną metodą tych, którzy ubezpieczali nieruchomość na wysoką sumę, a następnie niszczyli ją, żeby uzyskać pieniądze.

Resztki budynku znajdowały się w odległości prawie stu metrów od domu. Na pierwszy rzut oka trudno było powiedzieć, jaką funkcję pełnił, tak niewiele z niego pozostało. Zwęglona framuga, betonowa podłoga zarzucona spalonymi belkami, nagie, poczerniałe kołki, które mogły podtrzymywać wewnętrzną ścianę - to wszystko. Frances pomyślała, że mógł to być garaż na wiele samochodów.

Zakłopotana, spojrzała z dezaprobatą na budynek, osłaniając oczy przed blaskiem południowego słońca. Szkoda, że prezes spółki nie wiedział, jaki rodzaj nieruchomości padł pastwą płomieni.

- Harmonowie ubezpieczyli u nas wiele zabudowań - powiedział. - Nie mam pojęcia, co spłonęło. Nie mogliśmy się z nimi skontaktować. Myślę, że Unia telefoniczna również uległa uszkodzeniu.

Frances westchnęła, patrząc na pogorzelnisko. Rozpięła guziki żakietu, bo upał wyjątkowo dawał się we znaki.

Nagle z małego białego budynku na wprost wybiegł barczysty mężczyzna w dżinsach i powiewającej drelichowej bluzie. Biegł z brzęczącym metalowym wiadrem w kierunku czerwonej pompy. Rzucił tylko okiem na Frances, schwycił wąż gumowy przymocowany do pompy i odkręcił kurek, kierując strumień wody do wiadra.

- Halo! - zawołała Frances. - Czy pan Harmon? Z tej odległości mogła jedynie dostrzec, że głowa z blond włosami poruszyła się gwałtownie, przestraszona. Spojrzała z obrzydzeniem pod nogi, a następnie na odległą pompę, zastanawiając się, jak ma przejść po rozmięklej ziemi we włoskich pantofelkach za dwieście dolarów. Postanowiła, że nie będzie o tym myśleć. On i tak tu zaraz do niej podejdzie, wejdą do chłodnego domu, a ona krótko przedstawi sprawę.

- Podejdz tu, do diabła! - krzyknął mężczyzna. Frances podniosła głowę, a jej migdałowe oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Do cholery, nie stój tam jak gapa! Pośpiesz się! Jesteś mi potrzebna!

Spojrzenie jej stwardniało i Frances już miała odwrócić się i odejść majestatycznie jak najdalej od tego grubianina, ale wewnątrz niej mała Frannie z mysimi ogonkami usłyszała w tym ochrypłym okrzyku coś, co zmusiło ją do zastanowienia. Po chwili ruszyła w kierunku mężczyzny. Wąska spódnica powodowała, że mimo pośpiechu stawiała małe kroczki, krzywiąc się za każdym razem, ilekroć obcasy zatapiały się w ziemi.

- Co takiego? - wyrzuciła z siebie, kiedy w końcu podeszła do niego. Ledwie zdążyła zauważyć parę błyszczących błękitnych oczu w opalonej

twarży, kiedy odwrócił się i puścił biegiem w stronę małego białego budynku. Kiedy tak biegł, woda przelewała się przez krawędź wiadra.

- Pośpiesz się! - rzucił jej przez ramię, a Frances szła najszybciej jak mogła, słysząc panikę w jego głosie. Zatrzymała się jak wryta przed wejściem, patrząc spode łba w stronę ciemnego wnętrza.

- Przecież to obora.

- Jasne, że obora - burknął skądś z lewej strony. Spojrzała w tamtą stronę, ale w tym mroku niczego nie mogła dostrzec. - A czego się spodziewałaś? Teraz chodź tutaj i potrzyмай jej głowę albo będziemy mieli przed zachodem słońca następnego trupa.

Frances zdrętwiała.

- Trupa?

- Chodź tu!

Pośpieszyła po omacku, z wyciągniętymi rękami, szukającymi go rozpaczliwie. Coś metalowego i twardego uderzało o jej nogę, ale ledwie to czuła.

- Tutaj. - Dużą szorstką dłonią chwycił ją za rękę, kierując na prawo.

- Pójdę pierwszy. Poczekaј chwilę.

Mrugając oczami, stopniowo przyzwyczajała wzrok do ciemności i stwierdziła, że znajduje się u wejścia do dużej przegrody, wyłożonej grubymi gumowymi matami. Gdy zajrzała do środka, o mało nie krzyknęła z przerażenia.

Jakieś stworzenie, wyglądające na skrzyżowanie kozła z bajki z chartem afgańskim, stało drżąc na mokrej macie, z oczami otwartymi tak szeroko, że widać było białka oczu wokół całej tęczy. Jedna strona ciała pokryta była gęstym, płowym futrem, a druga niemal pozbawiona

włosów, z pęcherzami na przeraźliwie różowej skórze. Frances pomyślała, że za chwile zemdleje.

- O Boże - szepnęła, ogarnięta przerażeniem zarówno na widok straszliwego poparzenia zwierzęcia, jak również z powodu odurzającego zapachu środka antyseptycznego, który wypełniał całą oborę. - Naprawdę strasznie mi przykro, ale nie myślałam...

Jasnowłosa mężczyzna szybkim ruchem przeszedł przez zagrodę, przyklęknął, a następnie delikatnie przytrzymał ramieniem szyję zwierzęcia i przeniósł je, żeby ułożyć na zdrowym boku.

- Szybko! - syknął, oddychając ciężko. Przerażone zwierzę wrywało się, podczas gdy on szukał czegoś w kieszeni bluzy.

- Co szybko?

- Do diabła, podejdź tutaj!

Frances nie przyszło nawet do głowy protestować. Zapomniała o swojej kremowej sukience i kosztownych pantoflach, zbliżyła się szybko do niego i uklękła obok. Gumowe maty były mokre i wpijały się jej w kolana.

- Dobrze - mruknął. - Teraz obejmij ją ramieniem za szyję, o tak...

Cóż to za żart! Ona ma to objąć ramieniem? Nie mogłaby nawet dotknąć tego dzikiego, beczącego stworzenia z włosami na jednym boku i drugim bokiem spalonym, a co dopiero trzymać je!

- ...o tak... dobrze. Właśnie tak. Teraz zaciśnij ramię mocno, ale delikatnie... spróbuj jeszcze ją trzymać...

Nie zrobię tego, mówiła do siebie Frances, wstrzymując oddech, ze wzrokiem utkwionym w przeciwległej ścianie, żeby nie widzieć, co robi. Gdzieś w jej umyśle pojawiło się pytanie, czy nie sprawia bólu temu

cuchnącemu, włochatemu, budzącemu odrazę stworzeniu; czy nie byłoby mu przyjemniej, gdyby dała mu spokój?

Kątem oka dostrzegła w ręce mężczyzny strzykawkę i natychmiast zamknęła oczy.

- Trzymaj ją tak... o tak... dopóki nie wstrzyknę środka uspokajającego...

Frances poczuła pod ręką konwulsyjne napięcie mięśni zwierzęcia, a następnie, po chwili, rozluźnienie. Jednocześnie wydały z siebie westchnienie. Ale z nas duet - pomyślała z ironią. Frances i Zdumiewające Wzdychające Stworzenie.

- W porządku. Mogę teraz podłączyć płyn. Połóż jej delikatnie głowę.

Frances uwolniła głowę zwierzęcia i wzdrygnęła się. Mężczyzna rzucił na nią szybkie spojrzenie.

- Taka jesteś wrażliwa na oparzenia?

- Widocznie - westchnęła. Odchyliła się do tyłu na piętach, zaciskając ręce na udach. Patrzyła na tajemnicze stworzenie, na jego skórę pełną pęcherzy. Obserwowała, jak oddycha wolno i miarowo, a jego spojrzenie staje się ospałe i ociężałe - i w tej samej chwili poczuła niespodziewane, prawie bolesne szarpnięcie w sercu. Bądź co bądź, to było dziecko, a żadne dziecko nie powinno cierpieć.

- Co to w ogóle jest? - zapytała spokojnie. Mężczyzna przymocował jakąś rurkę do butelki.

Przypominało to szpitalne urządzenie do dożylniej kroplówki.

- To jest krowa, oczywiście. A ściślej mówiąc, cielę. A ty myślałaś, że co?

Frances spojrzała jeszcze raz i zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

- To nie jest krowa!

Zachichotał cicho.

- To jest highlander, czyli bydlę szkockie. Nie wygląda wprawdzie jak krowy, które zwykle widuje się w naszym kraju, niemniej to jest krowa, w dodatku to bardzo cenny egzemplarz.

Frances podniosła głowę z niedowierzaniem. To w ogóle nie przypominało krów, które widziała w telewizji albo w kinie, albo - od czasu do czasu - na polach, kiedy mknęła samochodem po autostradach.

Zwierzę wydało cichy dźwięk, bardziej przypominający kwilenie niż muczenie, a Frances uniosła ze współczuciem brwi.

- Czy ciągle ją boli?

- W tej chwili nie.

Frances wyciągnęła rękę, żeby dotknąć szerokiego czarnego nosa, zastanawiając się, czy zwierzę będzie próbowało ją ugryźć. Wstrząsnęła się, kiedy trąciło jej palce i znowu zakwiliło.

- Czy ona była w tym budynku, który się spalił?

Mężczyzna skinął głową, zaabsorbowany wkłuwaniem igły strzykawki w nogę cielęcia.

- To była... obora?

Skinął ponownie głową.

Frances westchnęła z rozczarowaniem. Oczywiście, może pożegnać się z premią za zdemaskowanie oszustwa: nigdy się nie zdarza, że farmer podpala swoją oborę dla pieniędzy, zwłaszcza jeżeli w środku są zwierzęta.

Westchnęła znów, patrząc na swoją poplamioną spódnicę i mokre od zetknięcia z matami pończochy, wyobrażając sobie, jak wszyscy mężczyźni z Northeastern Casualty, zebrani w sali konferencyjnej, chichoczą na myśl, że skrupulatna, wytworna Frances

Hudson idzie na palcach przez kupę gnoju w eleganckiej sukience i w pantofelkach.

- Ona ma do ciebie zaufanie.

Podniosła głowę, przestraszona swoim przygnębiającym zamyśleniem. Jasnowłosa mężczyzna uśmiechał się do niej.

- To cię - odpowiedział na pytanie zawarte w jej spojrzeniu. - Ma do ciebie zaufanie. - Kiwnął głową w kierunku zwierzęcia i Frances spostrzegła ze zdumieniem, że jej ręka głaszcze bezwiednie kark cielaka. Cofnęła ją szybko.

- Nie powinna. Nic nie wiem o zwierzętach. Nawet ich nie lubię.

- Ale ona lubi ciebie. I powinna, bo prawdopodobnie uratowałaś jej życie.

- Uratowałam jej życie? - powtórzyła miękko.

- Oparzenie być może zagoi się, ale gdyby ciebie tu nie było, żeby ją potrzymać, nie poradziłbym sobie z igłą... i zabiłby ją szok. Dzięki tobie ma teraz jakąś szansę.

Frances odwróciła głowę, żeby spojrzeć na cielaka i przez moment nie widziała upiornie różowej skóry ani resztek splątanej, zmechaconej sierści - widziała po prostu małe, bezbronne stworzenie, desperacko pragnące żyć. To, że mogłaby mieć jakiś, nawet mały, udział w tym zmaganiu, nappełniło ją dziwnym, nieznanym poczuciem dumy.

- Obawiam się, że zniszczyłaś sobie ubranie.

Frances spojrziała z roztargnieniem na pasmo płowej sierści na swojej poplamionej spódnicy, a potem na kępki sierści przylepionej do rękawa żakietu. Powinna z tego powodu wpaść w furję. To ubranie, podobnie jak włoskie pantofle, było częścią jej wypracowanego wizerunku. Jeszcze parę dni temu zamartwiała się z powodu plamki kawy na jedwabnej bluzce; dzisiaj klęczała na podłodze obory, nie pachnąc już bynajmniej Chanel Nr 5, a jakoś nie robiło to już na niej specjalnego wrażenia. Wzruszyła lekko ramionami, podniosła się i dotknęła mokrych pończoch.

- To jest roztwór środka antyseptycznego. Zmywałem tym maty. Zdajesz sobie chyba sprawę, że to nie jest ta najgorsza rzecz, na której mogłaś uklęknąć w oborze?

Frances uśmiechnęła się, sama siebie podziwiając. Mężczyzna patrzył teraz na nią z przechyloną głową. Spojrzenie jego oczu, dwóch błękitnych plamek na twarzy pokrytej kurzem, było spokojne i uważne.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz szukała pracy, daj mi znać. Zawsze mogę zatrudnić kogoś, kto umie sobie radzić ze zwierzętami.

Frances uśmiechnęła się, słysząc taką propozycję. W jakiś dziwny sposób pochlebiała jej i bawiła, ale przecież nie po to spędziła sześć lat wspinając się po szczeblach biznesu, żeby skończyć jako robotnik na farmie.

- Dziękuję, ale ja już mam pracę, panie Harmon. Szeroki uśmiech przeciął opaleniznę jego twarzy.

Obserwowanie, jak te doskonale wyrzeźbione rysy ożywiają się w uśmiechu, przypominało oglądanie fajerwerków błyszczących w czerni nocnego nieba.

- Ty chyba nie widziałaś Franklina Harmona? - zauważył.

- To ty nie jesteś...?

- Nic podobnego. Jestem Ethan Alexander, weterynarz Franklina. A ty?

- Frances - mruknęła. - Frances Hudson - dodała, czując na sobie jego przenikliwy wzrok. Już przedtem widziała gdzieś ten osobliwy odcień błękitu, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie.

- Witaj, Frances. - Podniósł się, podając jej rękę, a ona musiała unieść brodę, żeby spojrzeć na niego. Był bardzo wysoki i barczysty. Drugi w Nowthen uścisk ręki był ciepły, suchy i szorstki, pozostawił na jej palcach lekki zapach cielaka i sprawił, że kolana pod nią lekko zadrżały.

- Przyjechałam tu w sprawie odszkodowania dla pana Harmona.

- Odszkodowania? - Jego głos był głęboki i melodyjny... Jak mogła nie zauważyć tego od razu? Zakreśliło się jej w głowie i z trudem próbowała odzyskać panowanie nad sobą.

- Chodzi o jego ubezpieczenie od ognia. Jestem z biura Northeastern Casualty w Bostonie.

- Ohoho - ukłonił się unieżenie. - To aż z Bostonu wysłali inspektora? Coś w jego głosie ostrzegło ją.

- Oczywiście.

- Dobry Boże - mruknął, bardziej do siebie niż do niej. - To już nie mogliście zaangażować kogoś miejscowego... - Nie dokończył zdania i potrząsnął głową z irytacją, a Frances zeszywniała w pozycji gotowej do obrony, czując się jak intruz.

- My nie mamy żadnych inspektorów mieszkających w Nowthen - powiedziała.

- Ty jesteś z miasta - powiedział i jakoś zabrzmiało to jak potępienie.

- Czy masz coś przeciwko ludziom z miasta?

- Mam mnóstwo przeciwko ludziom z miasta, ale tu nie o to chodzi. -

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Rzecz w tym, że miejski inspektor nie wie elementarnych rzeczy o pożarze obory; nie ma on też żadnego interesu w udawaniu, że coś wie. -

Spojrzał na nią.

- Tym gorzej, jeśli jest kobietą.

Frances czuła, że oczy zwązają się jej do wąskich szparek, krew uderza do głowy, a na twarz występują rumieńce.

- No, rzeczywiście - powiedziała lodowatym tonem. - Chyba nie mogło cię spotkać nic gorszego. Jakaś kobieta, i to kobieta z miasta. Dziwię się, że od razu mnie nie zastrzeliłeś!

Mężczyzna najwidoczniej próbował ukryć uśmiech, a to jeszcze bardziej zirytowało Frances. Nie wiedziała, co gorsze - słyszeć jawne zniewagi czy widzieć ten uśmiech. Na wszelki wypadek zawróciła na pięcie i skierowała się ku wyjściu.

- Miałem tylko to na myśli, że kobiety są stworzeniami delikatniejszymi niż mężczyźni - usłyszała za plecami jego drwiący głos. - A delikatne stworzenia nie powinny zajmować się następstwami pożaru obory.

- Delikatne stworzenia, rzeczywiście! - odparowała ze złością Frances, wściekła, że traktuje ją tak protekcyjnie.

- Czy kiedykolwiek przedtem badałaś następstwa pożaru obory?

- Od kilku lat badam sprawy pożarów.

- Pożary obór? - zapytał z naciskiem. Frances szła, nie zatrzymując się.

- Hej!

Odwróciła się. Stał w pobliżu zagrody cielaka. Wydawało się, że wypełniał swą postacią całe przejście.

- Dokąd idziesz?

Spojrzała na niego spode łba, mając nadzieję, że w tym przyćmionym świetle widać jej groźny wyraz twarzy.

- Nie twoja sprawa.

Jego niski chichot wypełnił całe przejście, co sprawiło, że jej odpowiedź zabrzmiała niepoważnie.

- Wszystko, co dzieje się w Nowthen, jest sprawą każdego z nas - powiedział.

- Co za wspaniały argument dla kogoś mieszkającego gdzie indziej! - odparowała.

Nastąpiła cisza tak przykra, że Frances poczuła ulgę, kiedy ją przerwał:

- Państwa Harmon nie ma w domu. Nie wrócą aż do zmroku. Musisz przyjechać jeszcze raz. Zobaczymy się później, Frances Hudson.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziała, nie odwracając się. Wyszła z podniesioną głową na światło słonecznego południa, zastanawiając się, czy rzeczywiście odprowadzał ją wzrokiem, czy tylko miała takie wrażenie.

Nagle poczuła, że jest bardzo, bardzo daleko od Bostonu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Drogę z farmy Harmonów do Nowthen Frances odbyła w rekordowym tempie, między innymi dlatego, że zapach, jaki jej towarzyszył w samochodzie, był wprost nie do zniesienia. Nawet przy szeroko otwartych oknach czuła ciągle, że jej ubranie, włosy, ręce przesycone są odorem obory i środka odkażającego. Zastanawiała się, krzywiąc z odrazą, jak można wybrać zawód weterynarza, wiedząc, że trzeba wachać to przez cały czas.

Założę się, że nie jest żonaty, myślała ze złośliwą satysfakcją. Jestem pewna, że nie może nawet umówić się na randkę, choćby był nie wiem jak przystojny. Zirytowana, że ciągle myśli o Ethanie Alexandrze, próbowała skoncentrować się na krajobrazie. Nawet w tak zagospodarowanej dolinie, jak ta, w tle dominowały New Hampshire White Mountains, wznosząc się jak groźni strażnicy. Frances brakowało tu ciągle widoku Bostonu otwartego ku niezmierzonej przestrzeni oceanu.

Te doliny zamknięte górami, z szachownicą pól, kępami dzikich kwiatów zarastających drogi, wywoływały w niej uczucie klaustrofobii. Pędziła obok plamy osobliwie jaskrawych kwiatów, dziwiąc się, jak bardzo ich pawioblękitny kolor przypomina oczy wiejskiego weterynarza. Przypomniała sobie mieniące się barwami tęczy koła pawiego ogona w bostońskim zoo i prychnęła pogardliwie, myśląc, że to głupi kolor dla oczu mężczyzny. Dalej już jechała nachmurzona, wyrzucając sobie, że nie potrafi zapomnieć o tym człowieku.

Jedyny hotel w mieście był przebudowanym domem z przełomu wieków, położonym w zachodniej części osady. Kiedy Frances stała w

staromodnym holu przy biurku recepcjonistki, zastanawiała się, czy wszyscy ludzie mieszkający w tym mieście są równie zacofani jak to pomieszczenie. Nie było tu żadnego służącego, pokojówki, nie było nawet windy.

- To nie miasto, jak pani widzi - zauważyła małomówna kobieta przy biurku.

W samej rzeczy, pomyślała Frances, kiedy musiała taszczyć swoje torby po szerokich schodach na piętro. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, zrzuciła ubranie i schowała je do plastikowych toreb, a następnie szybko wzięła prysznic, żeby zmyć z siebie przenikający wszędzie zapach obory i środka antyseptycznego, przywodzący na myśl poranek, o którym wołała zapomnieć.

Po wysuszeniu włosów ubrała się starannie, jakby szła na lunch do jednej z najlepszych bostońskich restauracji. Kiedy z satysfakcją stwierdziła, że przywróciła swój dawny wizerunek, na który składały się: biała bluzka, granatowe spodnie i żakiet, jasnokarmelowe włosy upięte z tyłu w węzeł - zeszła na dół.

Hotelowa jadalnia była zadziwiająco duża, zważywszy, że znajdował się tam tylko jeden klient - jakiś mężczyzna siedzący przy jednym ze stolików koło okna. Odwrócił głowę, kiedy weszła, po czym szybko wstał.

- Witam, panno Hudson. - Od razu rozpoznała ten głos, mimo że, stojąc tyłem do okna, miał twarz ukrytą w cieniu.

- Witam, panie Alexander - odpowiedziała z chłodnym skinieniem głowy. Usiadła przy stoliku jak najdalej od niego, na środku sali, odwrócona tyłem, i rozłożyła serwetkę na kolanach. Za chwilę usłyszała

kroki przechodzącego przez salę Ethana. Wysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

- To trochę głupio zmuszać Margaret, żeby obsługiwała dwa stoliki, skoro jesteśmy jedynymi gośćmi, nie uważa pani? - Jego włosy były wilgotne po niedawnym prysznicu i sterczały na czubku głowy. Miał czystą białą koszulę, rozpiętą pod szyją, z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi opalone, muskularne ramiona. Frances wolałaby tego nie widzieć. Powetowała to sobie, mówiąc trochę ostrzej, niż zamierzała:

- Czy nie powinien pan być jeszcze u Harmonów, aby opiekować się cielakiem?

- Jak na kobietę, która głosi, że nie lubi zwierząt, jest pani nim strasznie przejęta - powiedział, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - Ale nie musi się pani martwić, jest z nim mój asystent. Da mi znać, jeśli będę potrzebny. - Spojrzał na nią i zmarszczył brwi. - Czy nie ma pani nic oprócz tych kostiumów? Nie może pani wejść do zwęglonego budynku w takim stroju.

- Moje kombinezony są w pralni. - Zmiażdżyła go spojrzeniem.

Ethan próbował powściągnąć uśmiech, kołysząc się na krześle tak, że balansowało na dwóch nogach.

- Poza tym - dodała Frances - nie mam wcale zamiaru grzebać w zwęglonym budynku. Zrobi to ekipa specjalistów od podpaleń.

Krzesło Ethana opadło z gwałtownym stukiem. Spojrzał na nią z osłupieniem.

- Ekipa od podpaleń? O czym ty mówisz? Frances straciła trochę pewności siebie, zaskoczona jego reakcją.

- Ekipa od podpaień - powtórzyła ostrożnie. - Zbadają miejsce pożaru, aby stwierdzić, czy nie miało miejsca podpalenie, a następnie prześlą mi protokół.

Ethan siedział spokojnie, nie odzywał się, ale nie spuszczał z niej oczu. W końcu przemówił tak cicho, że Frances ledwie go słyszała:

- Jestem najzupełniej przekonany, że nie przyszłoby ci do głowy, że to Franklin podpalił swoją własną oborę.

Frances zawahała się, przestraszona groźbą, którą nagle wyczuła w tonie jego głosu.

- Ja... ja w ogóle niczego nie sugeruję. Statystycznie pożary obór prawie zawsze są przypadkowe. Chodzi po prostu o to, że przy postępowaniu o odszkodowanie zawsze przeprowadza się śledztwo, które ma wykluczyć ewentualność podpalenia. O tym jest mowa w polisie ubezpieczeniowej towarzystwa.

Ethan nie spuszczał z niej wzroku, jakby chciał wyczytać, co kryje się za jej spojrzeniem, potem kiwnął głową.

- No dobrze, przyznaję, że to ma sens z punktu widzenia towarzystwa ubezpieczeniowego. Niemniej jednak na twoim miejscu nie używałbym słowa „podpalenie” w zestawieniu z osobą Franklina. Nie w tym mieście.

Frances drgnęła słysząc tę pogrózkę.

- A jeżeli chcesz przeprowadzić jakieś dochodzenie - ciągnął Ethan - będziesz musiała zrobić to sama. Nowthen nie ma żadnej ekipy do spraw podpaień.

Mamy tylko pięcioosobowy oddział ochotniczej straży pożarnej, a oni nie sporządzają protokółów.

Frances zacisnęła wargi i spochmurniała. Nie była inspektorem tego rodzaju. Nie należała do tych, którzy przedzierają się przez zniszczenia wywołane przez ogień w białych kombinezonach i masce chirurgicznej, zbierając dowody do małych plastikowych torebek. Nie wiedziałyby nawet, czego szukać. Jej praca polegała na tym, że porównywała i szacowała to, co znaleźli ludzie, którzy wykonywali całą tę brudną robotę. Jej praca była przyjemna i czysta i zwykle wykonywała ją w czystym, przyjemnym i bezpiecznym biurze. Z drugiej strony, myślała ponuro, dlaczego to głupie zajęcie miałooby teraz stać się łatwiejsze? Westchnęła z uczuciem zawodu i rozejrzała się wokół zniecierpliwiona.

- Czyż nie ma tu żadnej kelnerki?

- Margaret! - huknął natychmiast, aż się przestraszyła. Prawie natychmiast szeroka, różowa twarz otoczona siwymi kędziorami wsunęła się przez wahadłowe drzwi. Frances poznała kobietę z recepcji.

- Oszczędź sobie drogi, Margaret - zawołał Ethan - i przynieś nam dwie porcje twojej specjalności. Ja wezmę piwo.

Kobieta zawróciła.

- Tu nie ma spisu potraw, które się zamawia - wyjaśnił Ethan - ale ręcę za wszystko, co Margaret położy na talerzu. Siedź tutaj, przyniosę piwo.

- Czy ona jest również kucharką? - zapytała Frances.

- Kucharką, urzędniczką, kelnerką i właścicielką tego domu. W naszym mieście nie ma wielu specjalistów w tej dziedzinie.

Frances siedziała w paraliżującej ją ciszy. Znajdowała się dalej od Bostonu, niż przypuszczała, w mieście bez brygady do spraw podpaień, w restauracji bez menu, pijąc w swoim najlepszym ubraniu piwo z

mężczyzną, który pewnie uważa, że kobietom najlepiej przystoi rodzenie dzieci i zajmowanie się kuchnią. Ciekawe, czy przyniesie szklanki, czy też będzie zmuszona pić piwo prosto z puszki, zastanawiała się.

Za chwilę Ethan wrócił, niosąc dwa ciężkie szklane kufle z białą pianą na powierzchni i złotym, zimnym płynem pod spodem.

- W taki upał nie ma to jak zimne piwo. - Podniósł swój kufel w geście toastu. Zanim usiadł, wypił trochę i spojrzał na nią. Miał bardzo długie rzęsy, które dotykały policzków, kiedy mrugał oczami.

- Nie napijesz się?

Frances upiła ostrożnie jeden łyk, potem drugi. Piwo było nadspodziewanie dobre, chłodne, piana łaskotała jej wargi, przywołując falę wspomnień z dzieciństwa. Przyjęcia w duszne letnie wieczory, szare ulice rozjaśnione chorągwiami, śpiewem i muzyką, i wujek Artur dający jej pierwszy raz spróbować, jak smakuje piwo, kiedy miała zaledwie dziesięć lat...

- Nie smakuje ci? Może wolałabyś coś innego? - Jego głos przywołał ją do rzeczywistości.

- Nie, jest bardzo dobre. Po prostu dawno już nie piłam piwa... - urwała, spoglądając na Ethana. Pochylił się do przodu, opierając ręce na blacie stolika. Błękit jego oczu wydawał się teraz jaśniejszy; przypominał barwę zimowego jeziora, zanim skute lodem stanie się białe. Zatrzymała przez chwilę wzrok na jego oczach, ale zaraz poczuła, że rumieńce występują jej na policzki. Na szczęście Margaret właśnie w tym momencie wniosła ogromną tacę z jedzeniem.

- Jak skończycie, podam kawę - powiedziała, odchodząc równie szybko, jak się zjawiała.

Wspólne jedzenie szybko rozładowało przykre napięcie między nimi.

- Widzę, że ci smakuje - zauważył Ethan. Frances spojrzała na ogromne porcje na swoim talerzu, jakby to nie ona tam je położyła.

- Takiego jedzenia nie ma w bostońskich restauracjach - wyjaśniła, trochę zakłopotana. - To smakuje jak na majówce, jak... - Wzrok jej powędrował po daniach z pieczonej fasolki, sałatce z pomidorów, grubych plastrach zimnego mięsa i kromkach świeżo upieczonego chleba.

- Jak co? - Nie dawał za wygraną.

- Jak kolacje mojej mamy. - Bawiła się widelcem w zamyśleniu.

Ethan obserwował ją uważnie.

Kiedy Margaret przyszła, żeby sprzątnąć ze stołu, Frances uśmiechnęła się do niej.

- To był bajeczny posiłek. Dziękuję pani. Starsza pani, wyraźnie speszona, pośpiesznie sprzątnęła ze stołu i odeszła bez słowa.

- Czy powiedziałam coś złego? - zaniepokoiła się Frances.

Ethan uśmiechnął się.

- Nie, to nie było złe, tylko... niespodziewane. Zazwyczaj ludzie tacy jak ty nie doceniają domowej kuchni Margaret.

- Ludzie tacy jak ja? - Frances patrzyła nań zaskoczona.

- Ludzie z miasta - wyjaśnił.

- Masz na myśli każdego, kto nie pochodzi z Nowthen, prawda?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Zaśmiał się, rozbawiony.

Odpowiedziała wolno, wyraźnie wymawiając każde słowo:

- Najpierw zaskoczyło cię, że to ja miałabym badać straty wywołane przez pożar, teraz podejrzewałeś, że nie umiem docenić dobrego jedzenia.

To brzmi tak, jakby wszyscy ludzie z miasta żyli i rozumowali jakoś inaczej.

- W pewnym sensie tak - powiedział przyjaźnie. - Boston leży daleko od Nowthen. Tu uznaje się inne wartości.

Rozdrażniona Frances zgrzytnęła widelcem po talerzu. Czuła niemal, jak w jej oczach pojawiają się groźne żółte błyski.

- To najbardziej krzywdząca opinia, jaką kiedykolwiek słyszałam! Uważasz, że twoje wartości są lepsze niż moje?!

- Powiedziałaś „lepsze”. Ja tego nie mówiłem. Powiedziałem „inne”.

- Uśmiechnął się szeroko.

- A co jest innego? - nalegała.

- Rozejrzyj się wokół. Ludzie w tym mieście nie przywiązują wagi do kosztownych strojów, pretensjonalnych samochodów...

- Mój samochód nie jest pretensjonalny - powiedziała ostrożnie, próbując panować nad sobą. - To po prostu pewny, niezawodny środek transportu.

- Ten samochód nie jest środkiem transportu. To wyzwanie, deklaracja, mówiąca każdemu, że możesz sobie na to pozwolić, że dobrze ci się powodzi. Takiego samochodu nie kupuje się, żeby podróżować z jednego miasta do drugiego, ale po to, by imponować innym.

Frances wyprostowała się w swoim krześle, dotknęła do żywego. Z trudem pohamowała się, żeby nie powiedzieć mu czegoś przykrego. W końcu to, co powiedział, nie było takie dalekie od prawdy. Wzięła głęboki oddech.

- W niektórych zawodach konieczne jest robienie dobrego wrażenia - powiedziała krótko.

- Więc może wybrałaś nieodpowiedni zawód.

Frances zmusiła się do cukierkowego uśmiešku.

- Pewnie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybym została asystentką weterynarza. To miałaś dziś rano na myśli, nieprawdaż?

- Niezupełnie, ale teraz, kiedy o tym wspomniałaś, myślę, że rzeczywiście nadawałabyś się bardzo dobrze na moją asystentkę.

- Jesteś w największym błędzie. Już ci powiedziałam, że nigdy nie przepadałam za zwierzętami ani one za mną.

- To cię polubiło ciebie. I ty też je lubisz. - Spojrzał na nią, a w jego uśmiechu nie było teraz cienia drwiny. - Przyznaj, że ciągle martwisz się o nie. Widzę to w twoich oczach.

Frances spuściła wzrok, przypominając sobie z przerażającą dokładnością nieszczęsne, poparzone stworzenie, spoglądające na nią z niemal ludzką ufnością.

- Po prostu nie spotkałam się jeszcze z takim cierpieniem - mruknęła.

- Nie wiem, jak możesz znosić przyglądanie się męczarni zwierząt. Co, do diabła, pcha ludzi do tego zawodu?

- Właśnie chęć ulżenia tym cierpieniom - odpowiedział zwyczajnie, patrząc na nią w zamyśleniu. - Jeśli chcesz, możemy teraz pójść na miejsce pożaru. Nie powinnaś dłużej zwlekać.

- Dlaczego?

- Bo jest gorąco.

- To nie lepiej poczekać, aż zrobi się chłodniej?

Ethan popatrzył na nią, jakby była niespełna rozumu.

- Czy nie rozumiesz, że ciała rozkładają się szybciej w wysokiej temperaturze?

Frances patrzyła na niego szeroko rozwartymi z przerażenia oczami.

- Ciała? - Powtórzyła słabym głosem, żałując każdego kęsa zjedzonego lunchu.

- Bydło Franklina, które stracił podczas pożaru - wyjaśnił. - Chodzi zwłaszcza o byka. To była wielka strata. Był ubezpieczony na ćwierć miliona, a może nawet więcej.

- Bydło? - zdziwiła się Frances. - To ubezpieczenie dotyczyło jakiejś krowy?

- Dokładnie: siedmiu krów, no i jednego byka.

- Rozumiem. - Odetchnęła głęboko i chrząknęła.

- Przenieśliśmy je rano na pastwisko, ale jeśli chcesz je zobaczyć, musimy to zrobić teraz. One spaliły się w nocy... czy chciałabyś napić się wody albo czegoś innego?

Frances potrząsnęła głową w milczeniu.

- A pani, panno Hudson, myślała, że co Harmonowie stracili w tym pożarze?

- Och, nie wiem. Antyki, dzieła sztuki, coś w tym rodzaju. - Wzruszyła ramionami.

Ethan prychnął z irytacją.

- Mówiłem ci już, że to nie jest zajęcie dla człowieka z miasta. Czy ty w ogóle widziałaś kiedykolwiek zwierzę, które spaliło się w pożarze?

- O Boże, nie! - szepnęła. Była tak przerażona tą perspektywą, że nie zwróciła nawet uwagi na kolejne oszczerstwa pod adresem ludzi z miasta.

Ethan westchnął.

- Domyślasz się chyba, że to nie będzie nic przyjemnego.

Frances zmusiła się do uśmiechu, który w jej przekonaniu świadczył, że jest ponad to.

- W mieście również jest mnóstwo rzeczy, które nie są przyjemne, panie Alexander. Nie jestem aż tak naiwna.

- Czy jesteś pewna, że będziesz mogła tego dotknąć?

- Najzupełniej pewna - odparła szorstko. - Wszystko będzie w porządku.

Ale wcale nie było w porządku. Wystarczyło, że z odległości dziesięciu metrów rzuciła okiem na rząd pozbawionych sierści ciał, pokrytych różowymi i czarnymi bąblami, z których jedno było umieszczone na łyżce ładowarki - i od razu zrobiło się jej ciemno w oczach. Kiedy się ocknęła, siedziała na przednim siedzeniu ciężarówki, którą tu przyjechali, a Ethan trzymał przy jej ustach kubeczek od termosu z zimną wodą.

- Proszę, wypij jeszcze jeden łyk. Lepiej ci? Potrząsnęła słabo głową.

- Uprzedzałem cię, że to nie będzie przyjemne. Posiedź jeszcze chwilę i pooddychaj spokojnie, zaraz przejdą ci zawroty głowy.

Frances zamknęła oczy i próbowała nie zwracać uwagi na to, że czoło ma wilgotne od potu, a żołądek nieprzyjemnie podchodzi do gardła. Ethan dał jej czas, żeby przyszła do siebie. Siedział spokojnie za kierownicą, patrząc prosto przed siebie. Dopiero po pięciu minutach Frances poczuła, że może rozmawiać, bez obawy, że znowu zasłabnie.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego - wymamrotała.

- Większość ludzi nie widziała.

- Ani też nigdy w życiu nie zemdlałam.

- Nie ma się czego wstydzic.

Frances uśmiechnęła się słabo.

- Tam, skąd pochodzę...

- To ludzie w Bostonie nie mdleją?

Frances oparła głowę o tył siedzenia i zamknęła oczy.

- Nie lubię zwierząt - mruknęła, jak gdyby znowu to sobie przypominając. - Więc nie powinno to mnie poruszyć.

Ethan westchnął ciężko.

- Może nie oglądałaś nigdy martwych zwierząt. Może w ogóle nie widziałaś śmierci. - Jego oczy napotkały jej wzrok. Zobaczyła w nich głębię, której jakoś dotąd nie zauważyła. - Ja również nie widzę zwierząt, kiedy próbuję je ratować. Widzę po prostu życie.

Frances odwróciła głowę i popatrzyła na niego, zaskoczona nieco, że słyszy takie filozoficzne stwierdzenia z ust wiejskiego weterynarza.

- Dziwny z ciebie człowiek - mruknęła, patrząc na jego jasną, przystojną twarz. - Powinieneś być lekarzem, jeżeli reagujesz w ten sposób.

- Jestem lekarzem.

- Miałam na myśli lekarza, który leczy ludzi.

Odwrócił od niej wzrok i wzruszył ramionami. Po chwili zapytał:

- Dlaczego nie lubisz zwierząt?

- Bo nie można im ufać. Nigdy nie wiadomo, co one myślą ani kiedy cię zaatakują.

- A czyż ludzie są inni? - Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Większość z nich tak - odpowiedziała spokojnie, myśląc o swojej matce, wuju, o dobroci wszystkich tych ludzi, którzy odsuwali na bok gorzkie wspomnienia swego ubóstwa.

- Żyjesz w zaczarowanym świecie - stwierdził, a Frances zaśmiała się głośno.

- Czuję się już dużo lepiej - powiedziała pewnym głosem. - Czy mógłbyś odwiedzić mnie do hotelu?

Ethan patrzył na nią przez chwilę, potem skinął głową, uruchomił silnik i jadąc koleinami, które pozostawiła na polu lądowarka, zawrócił ku autostradzie.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Frances obudziła się następnego ranka, niebo za oknem hotelowym było szare i mokre. W pierwszej chwili miała ochotę naciągnąć kołdrę na głowę i z powrotem zasnąć. Nie czuła entuzjazmu, z którym zwykle budziła się, żeby podjąć wyzwanie nowego dnia. Siła przyzwyczajenia skłoniła ją jednak do opuszczenia przytulnego łóżka z baldachimem.

Lustro ukazało jej podkrążone oczy - nieme świadectwo koszmarów, które nękały ją w nocy, a których teraz nie mogła sobie przypomnieć. Ta przemiana w jej wyglądzie zmartwiła ją o wiele bardziej niż złe sny. Utracenie kontroli nad wizerunkiem Frances Katharine Hudson, który prezentowała całemu światu, było pierwszym krokiem w kierunku zguby samej Frances Katharine Hudson.

Ubrała się pośpiesznie w prostą czarną sukienkę, która pasowała do jej niewesołego nastroju, ale nie mogła poradzić sobie z włosami. Niesforne karmelowe pasma ciągle wysuwały się z koka, opadając na ramiona. Również w oczach pojawiło się coś, czego dotąd nie było. Wydawały się ciemniejsze niż zwykle, bardziej brązowe niż bursztynowe. To one zmieniły całkowicie wyraz jej twarzy, sprawiając wrażenie, jakby przez tę noc rysy Frances znacznie złagodniały.

Nie pomógł nawet staranniejszy niż zwykle makijaż. Wprawdzie odbicie w lustrze nie ukazało Frannie z mysimi ogonkami, czego zawsze tak się obawiała, ale nie było tam również tej chłodnej, wyrafinowanej kobiety, którą Frances widziała jeszcze wczorajszego ranka. Odwróciła się

od lustra z niesmakiem. Wkrótce potem opuściła hotel, aby jak najszybciej udać się na farmę Harmonów.

Kiedy znalazła się za kierownicą samochodu, powróciło uczucie pewności siebie. Po dwóch kilometrach jazdy zalaną deszczem dwupasmową szosą, wydawało jej się, że na dobre odzyskała spokój. Niestety, już po chwili zaczęła przypominać sobie wczorajsze wydarzenia i swoje zachowanie, którego nie potrafiła zrozumieć. Przede wszystkim to trudne do wytłumaczenia poczucie więzi z rannym cielakiem, ale również wrażenie, jakie sprawił na niej czysto fizyczny urok Ethana, a w końcu kompromitujące zemdlenie. To ostatnie zdarzenie spowodowało, że wczoraj postanowiła wrócić do hotelu, nie czekając na powrót Harmonów.

- Zobaczę się z nimi jutro - powiedziała wtedy niepewnie i wyskoczyła z ciężarówki, zanim Ethan zatrzymał się na dobre. Jeszcze teraz rumieniła się z zakłopotania, kiedy o tym myślała. Przypomniała sobie, jak twierdził, że to nie jest zajęcie dla kobiet, a ona odpowiedziała, że potrafi spełniać swoje obowiązki nie gorzej niż mężczyzna... Chwilę potem zemdląca jak rozhisteryzowana piękność, udowadniając słuszność jego przekonania. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie natknie się więcej na Ethana Alexandra i że nigdy nie będzie już musiała stanąć naprzeciw tych dziwnych błękitnych oczu, które dostrzegły szczelinę w jej pancerzu, zanim ona sama ją sobie uświadomiła.

Dojeżdżała właśnie do domu Harmonów, gdy znowu zaczął siać drobny deszczyk. Poprzez miarowo poruszające się wycieraczki zobaczyła Ethana biegnącego z szopy do domu. A więc nie będzie jej oszczędzone ponowne spotkanie.

Kiedy ją zobaczył, zatrzymał się, żeby otworzyć drzwi jej samochodu i pozdrowił ją z uśmiechem.

- Wejdz. Czekaliśmy na ciebie. Frances zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Nie sądziłam, że tu będziesz.

- Oczywiście, że musiałem się tu zjawić. Wiedziałem, że przyjedziesz. - Ujął ją za rękę i wyciągnął delikatnie z samochodu. Chciała powiedzieć, żeby zostawił ją w spokoju. On jednak chwycił ją mocno i ani się obejrzała, gdy biegli już w kierunku drzwi, trzymając się za ręce.

Elaine Harmon otworzyła drzwi i wciągnęła ich do środka, wymachując rękami na widok wody ściekającej z włosów Ethana. Elaine była skromną, pełną macierzyńskiej czułości kobietą o gęstych, puszystych siwych włosach. Ubrana była w kwiecistą sukienkę, mocno opiętą na jej obszernym ciele. Jej ubranie i sposób bycia dziwnie nie pasowały do nowocześnie wyposażonej kuchni. Frances od razu zauważyła, że pani Harmon darzy Ethana głębokim uczuciem.

- Och, Ethan! - Objęła go za szyję pulchnym, opalonym ramieniem, a jej oczy napęłniły się łzami. - Beth właśnie wyszła. Ona mówi, że nie wie, czy cielak to przetrzyma.

Ethan przytulił ją delikatnie, a potem odsunął na taką odległość, by spojrzeć jej z uśmiechem w oczy.

- Wszystko będzie dobrze, Elaine. Do tej pory radziła sobie dzielnie. Czy Tommy przyszedł, żeby zastąpić Beth?

Elaine przytaknęła i westchnęła.

- Poszedł tam teraz ze swoim spiworem i tym strasznym magnetofonem. Czy jesteś pewny, że on wie, co ma robić?

- Jest tak samo kompetentny jak Beth, Elaine. Za rok będzie już weterynarzem.

- Wiem, wiem. Ale Beth zawsze umiała obchodzić się ze zwierzętami, mimo że nie jest wykształcona...

- Beth jest moim pełnoetatowym asystentem - wyjaśnił Ethan. - Urodziła się i wychowała w Nowthen, dzięki czemu można całkowicie na niej polegać. Tommy, przeciwnie, jest tylko na praktyce wakacyjnej, przyjechał z miasta i nie bardzo mamy do niego zaufanie.

To tak jak do mnie, pomyślała Frances.

- Elaine, to jest Frances Hudson, inspektor z Northeastern Casualty, o której ci mówiłem. - Ethan usunął się na bok i Frances poczuła uścisk ręki kolejnego mieszkańca Nowthen. - Jeśli masz trochę czasu, chciałaby zapytać cię o parę rzeczy.

Pani Harmon skupiła życzliwy wzrok na Frances i uśmiechnęła się.

- Och, jakież urocze z ciebie dziecko! Urzędowe powitanie, które przygotowała sobie

Frances, uwięzło jej w gardle. Nie czuła się już jak pewny siebie urzędnik, spotykający się ze swoim klientem, ale jak mała dziewczynka po raz pierwszy przedstawiana czyjejś matce.

- E... dziękuję. Miło mi panią poznać, pani Harmon.

- Och, daj sobie spokój z tą panią Harmon. Mów mi Elaine. Teraz chodźcie oboje i siadajcie. Przygotowałam kawę i bułeczki, no i te okropne polisy ubezpieczeniowe. Nie wyobrażasz sobie, jak to wszystko nabiera sensu dzięki tobie, Frannie.

Nazwała ją tak jak matka - Frannie. Nikt więcej tak się do niej nie zwracał, ponieważ nikt nie znał tego dziecka z mysimi ogonkami, które

odeszło wraz z tym imieniem. Słyszając je z ust obcej kobiety, Frances poczuła się zarówno trochę zaniepokojona, jak i dziwnie pokrzepiona.

Usiadła przy dużym stole naprzeciw Ethana nad kubkiem kawy z bułeczką cynamonową. Słuchała rozmowy Elaine i Ethana, prowadzonej ze swobodną zażyłością ludzi, którzy troszczą się o siebie nawzajem. Mimo pozorów dobrego nastroju, Frances dostrzegła cienie pod oczami pani Harmon i wyraźne napięcie, kryjące się pod jej uśmiechem. Oczywiście stało się dla niej, że straty spowodowane przez pożar pozostawiły uraz i Frances czuła się głęboko winna, że swoimi pytaniami przywołuje przykre wspomnienia.

Dowiedziała się, że ogień wybuchł wkrótce po północy i że państwo Harmonowie zostali obudzeni przeraźliwym rykiem bydła, ale już nie zdążyli go uratować.

- Franklin, oczywiście, próbował... spaliłby się, gdybym go nie zawróciła. To wszystko zdarzyło się tak szybko. Zanim przyjechała straż pożarna i karetka pogotowia, budynek już prawie spłonął.

- Karetka pogotowia? - zdziwiła się Frances. Elaine smutno pokiwała głową.

- Ten szalony stary człowiek poparzył sobie obie ręce... oparzenia drugiego stopnia. Dzięki Bogu, że nie stracił władzy w rękach, ale musi jeszcze przez parę dni pozostać w szpitalu.

Frances zdrętwiała, wprost nie wierząc, że człowiek mógłby ryzykować własnym życiem ratując jakieś tam zwierzęta. Pół miliona dolarów czy nie, ale nie miała już cienia podejrzenia, że Harmonowie mogliby specjalnie podłożyć ogień.

- Tak mi przykro - mruknęła. - Nie wiedziałam, że pan Harmon został ranny. Czy nie domyślasz się, skąd mógł wziąć się ten ogień?

- Absolutnie. Nie mam też pojęcia, dlaczego nie zadziałał alarm pożarowy. Zainstalowano baterię w domu i przeprowadzono przewody, kiedy stawialiśmy ten budynek, ale nigdy nie słyszeliśmy żadnego alarmu.

- Elaine przycisnęła dłonie do oczu, a kiedy za chwilę je opuściła, miała wilgotne policzki. - Kochaliśmy tego przekłętą byka, i krowy również. Wiem, że to brzmi głupio, ale człowiek przywiązuje się do zwierząt, kiedy się nimi opiekuje.

Frances poczuła prawdziwą sympatię, oczywiście nie do zwierząt, które zginęły, ale do tej kobiety, która rzeczywiście przeżywała ich stratę.

- Myślę, że dowiedziałam się już wszystkiego, co mi było potrzebne - powiedziała. - W ciągu najbliższych dni będę bardzo zajęta, ale zajmę się tym odszkodowaniem tak szybko, jak to będzie możliwe. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę teraz obejrzeć miejsce pożaru.

Pani Harmon ogarnęła ją macierzyńskim spojrzeniem.

- Owszem, mam coś przeciwko twojej ślicznej sukience, Frannie. Czy nie przywiozłaś żadnego starego ubrania?

Frances zarumieniła się lekko na widok stłumionego uśmiechu Ethana.

- Będę uważać.

Zacząła właśnie okrążyć spaloną oborę, kiedy z małego budynku po prawej stronie dobiegło ją słabe muczenie. Podniosła głowę i nasłuchiwała. Dźwięk powtórzył się, tym razem był bardziej natarczywy. Frances wolno podeszła do budynku, z którego dobiegały odgłosy.

Cieleń było samo, linka kroplówki zaplątała się wokół jego nogi, a duże brązowe oczy spoglądały na nią żałośnie. Frances zatrzymała się z wahaniem przy wejściu.

- Gdzie jest Tommy? - zapytała i zaraz zganiała się za to, że oczekuje odpowiedzi od cielaka. - Och, tracę już głowę - gderiała, przestępując przegrodę. - Spędziłam zaledwie dwadzieścia cztery godziny w tym mieście, a już zaczynam rozmawiać ze zwierzętami. W dodatku czekam, aż mi odpowiedzą!

Cieleń beknęło, a Frances przygryzła wargi ze złością.

Wzrok jej podążył za splątaną linką kroplówki, która była tak napięta, że igła niemal wysunęła się z żyły. Frances wzdrygnęła się, zastanawiając, czy zdoła umieścić ją sama, czy też powinna raczej sprowadzić Ethana. Do podjęcia szybkiej decyzji zmusił ją cielak. Szarpnął się, żeby uwolnić nogę, przy czym igła wysunęła się jeszcze bardziej.

Nie zastanawiając się już dłużej, Frances przyklękła, jedną rękę położyła na szyi cielaka, żeby go uspokoić, drugą odplątała linkę. Kiedy linka rozluźniła się, igła automatycznie wsunęła się z powrotem na swoje miejsce, a zwierzę westchnęło.

- Biedne dziecko - mruknęła, kiedy zwierzak przytknął czarny szeroki nos do jej boku. - Gdzie jest ten przekłety Tommy? Jak mógł cię tak samą zostawić? Tak, tak, już dobrze... - powtarzała bezsensownie, uspokajającym tonem, głaszcząc szyję zwierzęcia, nieświadoma, że wysoka postać wsunęła się bezszelestnie do środka.

- Frannie...

Zamarła na dźwięk jego głosu. Uświadamiała sobie absurdalność tej sceny - kobieta, która nie znosi zwierząt, znowu klęczy za przegrodą obory.

Zanim zdołała się podnieść, Ethan przykucnął obok.

- Zniszczyłaś sobie następną sukienkę. - Uśmiechnął się. - Jesteś jak dziecko, wiesz? Ciągłe brudzisz swoje ubrania. - Skubnął rękaw jej zakietu. - Powinnaś mieć dzinsy, tenisówki i rozpuszczone włosy. -I zanim zdążyła zaprotestować, wyciągnął z włosów szpilki, które przytrzymywały kok. Dreszcz przebiegł jej po szyi i plecach, kiedy Ethan przesuwiał palcami po ściśniętych pasmach włosów, żeby je uwolnić.

- Tak jest lepiej - powiedział z uśmiechem. - Teraz jesteś bardziej podobna do siebie. Teraz widać prawdziwą Frannie.

Frances patrzyła na niego przez chwilę oszołomiona, potem zerwała się na równe nogi i przestraszona odsunęła się jak najdalej od jego ręki. Zobaczył ją -myślała przerażona - tę dziewczynkę, której odbicia w lustrze zawsze się obawiała, małą Frannie z mysimi ogonkami, w znoszonej sukience.

- Mylisz się - szepnęła. - Prawdziwa Frances jest tu. Wskazała desperacko na swój kostium, buty, potem włosy. Ale kostium był poplamiony, buty ubrudzone, a splątane włosy spływały na ramiona. Jej wygląd wyraźnie dowodził, że to on ma rację, nie ona.

- Frannie, Frannie - szepnął Ethan, wyciągając rękę, żeby ująć jej podbródek. - Czego się tak boisz?

Poczuła gorąco palców i przeszywający żar błękitnych oczu. Oczu hipnotyzujących, pozbawiających ją zdolności poruszenia się, myślenia;

gdyby nawet nie otoczył ręką jej szyi, i tak nie byłaby zdolna do żadnego ruchu.

Ledwie zdawała sobie sprawę z ciepła jego oddechu, kiedy poczuła muśnięcie palących warg na ustach. Na chwilę zaparło jej dech, lecz gdy przygarnął ją ramionami do piersi, zaczęła oddychać szybko, spazmatycznie. Nieznane doznania ogarnęły jej ciało. Czym było to tajemnicze gorąco, oblewające ją jak płynna lawa powierzchnię uspiętego wulkanu? Skąd się wzięło paraliżujące drętwienie kończyn?

- Frannie - szepnął ochryple - Frannie.

Jego usta napierające na jej wargi, klatka piersiowa niemal brutalnie spłaszczająca jej piersi - w pierwszej chwili pozbawiły ją tchu. Nagle doznała wstrząsu, uświadamiając sobie, co się dzieje. Do czego Frannie dopuściła.

- Nie! - Odepchnęła go gwałtownie i cofnęła się szybko o kilka kroków, z oczami szeroko otwartymi i czujnymi.

Ethan nie ruszył się z miejsca, co Frances wydało się bardziej niepokojące, niż gdyby próbował użyć wobec niej siły. Jasne pasma jego włosów poruszały się nad brwiami. Przemoczona od deszczu koszulka przylgnęła do klatki piersiowej, a mięśnie rysujące się pod nią drgały w rytmie jego przyśpieszonego oddechu. Błękitne tęczęwki płonęły pod półprzymkniętymi powiekami.

- Przepraszam - powiedziała Frances, usiłując precyzyjnie się obok niego, ale Ethan pochwycił jej dłoń.

- Uciekasz przed sobą, Frannie, nie przede mną - mówił delikatnym, łagodnym głosem, trzymając jej rękę w szorstkim uścisku. - Uciekasz przed tą kobietą, która troszczy się o rannego cielaka; uciekasz przed

kobietą, która zemdląca, kiedy zobaczyła śmierć... i, może przede wszystkim, uciekasz przed kobietą, która pożąda mężczyzny. A to jest najgorsze, prawda, Frannie? Stanąc twarzą w twarz przed kobietą, którą jesteś naprawdę.

- Przestań nazywać mnie Frannie! – próbowała krzyknąć, ale wydobyła z siebie tylko coś podobnego do słabego pisku.

- Przestań nazywać mnie Frannie - powtórzył bezbarwnym głosem, a blask w jego oczach jakby przygasł. - O to właśnie chodzi, prawda? To Frannie jest tą kobietą, której się obawiasz; kobietą, przed którą uciekasz. - Puścił jej rękę, wciąż patrząc w oczy. - Tylko ty nie uciekasz przed nią dość szybko, Frannie - szepnął.

Próbowała zerwać się i znaleźć jak najdalej od niego, ale nogi wrosły jej w ziemię. Ethan odwrócił się i odszedł bez słowa, zostawiając ją samą.

Drgnęła, kiedy nagle z tyłu za nią zabeczał cielak.

Może jednak nie była tak zupełnie sama?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Frances chwyciła już ostatni zakiet z wieszaka, wcisnęła go do pękatej walizki i zatrzasnęła wieko. Kawałki jedwabiu i płótna wystawały spod wieka jak kolorowe gałganki, ale nie zwróciła na to uwagi. Działała pośpiesznie, bezmyślnie, kierowana podświadomą potrzebą ucieczki. Nie wiedziała przed czym ucieka, była jednak pewna, że to wszystko, co osiągnęła do tej pory, zagrożone jest coraz bardziej z każdą kolejną minutą spędzoną w Nowthen.

Pobiegła do łazienki, żeby zabrać neseser pełen kosmetyków i spróbować go zapakować, ale zatrzymała się, przerażona swoim odbiciem w lustrze. Rumieńce wykwitły na jej policzkach, kontrastując z bladością reszty twarzy. Wilgotne od deszczu włosy przylegały do szyi.

Boże, pomyślała, przysiadając na krawędzi wanny. Kto to jest? Nic na świecie nie było w stanie przerazić Frances bardziej niż utrata tego, nad czym pracowała tyle lat. Jej wizerunek był fizycznym, namacalnym dowodem jej osiągnięć, dowodem, z którym się nie rozstawała. Teraz gwałtownie zniknął, jak gdyby wymazano z jej życiorysu osiem lat pracy, dzięki którym tak odmieniła swoje życie.

To głupstwo, próbowała się pocieszać. Prysznic, niewielki makijaż, odpowiednie ubranie - to wszystko przywróci jej normalny wygląd. Nie mogła jednak tym stwierdzeniem uspokoić myśli kłębiących się w głowie. Dawna Frances Katharine Hudson sądziła, że sens życia polega na bywaniu na koncertach w filharmonii, na kompletowaniu reprodukcji i ubieraniu się w stroje z kolekcji modelowych. Wszystkie cenne przedmioty ciągle znajdowały się w jej mieszkaniu, ale gdzieś pierzchła

magia ich posiadania. Jak to się mogło stać w ciągu zaledwie jednego dnia?

I właśnie od tego uciekała. Nie od Nowthen, nie od rannego cielaka, nawet nie od Ethana Alexandra, ale od tego wszystkiego, co kazało jej spojrzeć na siebie inaczej.

Ukryła twarz w dłoniach. Czuła ogromne zmęczenie, jak biegacz długodystansowy, którego ciało domaga się w końcu odpoczynku.

Gdzieś na dnie świadomości kryła się myśl, że powinna jak najszybciej wrócić do Bostonu, do domu, w którym zgromadziła wszystkie swoje skarby, gdzie będzie bezpieczna. Ale siedząc w smutnym jarzeniowym świetle hotelowej łazienki, w tym małym miasteczku, doszła do ponurego wniosku, że nie ma żadnej naprawdę bezpiecznej przystani, żadnego miejsca, gdzie mogłaby się ukryć przed tą nieznaną, obcą kobietą z lustra. Pozostawało tylko jedno niezawodne schronienie: sen.

Podeszła sztywno do łóżka, przesunęła na bok walizkę i zwinęła się w kłębek jak zmęczone dziecko, które w końcu ułożono do snu. Zegar wskazywał 11.30 i zdążyła jeszcze pomyśleć, że nie zaśnie w środku dnia, kiedy powieki jej opadły.

Obudził ją dzwonek telefonu, który sprawił, że serce podskoczyło jej do gardła. Sięgnęła po omacku po słuchawkę i wymamrotała „halo” do mikrofonu.

- Frannie, to ty?

Oprzytomniała w jednej chwili. Wczoraj podała matce numer hotelowego telefonu, nie przypuszczając, że będzie musiała z niego korzystać.

- Mój Boże, co się stało?

Nastąpiła chwila ciszy, po której z drugiej strony odezwał się zmieszany głos:

- Nic, nic złego. W ogóle to nic ważnego. Jestem tu na dole w holu. Pomyślałam, że może mogłabym zaprosić cię na kolację. Czy zadzwoniłam nie w porę?

Frances poczuła gwałtowną ulgę. To nie była jej matka, ale Elaine Harmon.

- Kolacja? - powtórzyła zakłopotana, uświadamiając sobie, że przespała lunch. Zegar oskarżycielsko wskazywał 16.30.

- To jest raczej coś w rodzaju spotkania towarzyskiego - powiedziała Elaine. - Koncert na parkowej estradzie, stragany z jedzeniem, coś w tym rodzaju. Urządzamy to latem co tydzień, a ponieważ nie znasz właściwie nikogo w Nowthen... Nie mogłam po prostu znieść myśli, że siedzisz sama w hotelu, podczas gdy reszta ludzi w miasteczku dobrze się bawi.

- To naprawdę bardzo miło z pani strony, pani Harmon, ale...

- Lubię mieć towarzystwo - przerwała spokojnie Elaine. - Zawsze chodzimy tam razem z Franklinem, ale on wróci do domu dopiero jutro rano.

- Muszę mieć trochę czasu, żeby się przygotować.

- Cudownie! - powiedziała Elaine tak ożywionym głosem, jakby, skłaniając Frances do wyjścia z hotelu, dokonała nadzwyczajnego osiągnięcia - Będę czekała. Ubierz się zupełnie zwyczajnie.

Frances zamyślona odłożyła słuchawkę, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia. Życie w mieście nauczyło ją, że ludzie są cyniczni i wyrachowani. Dlatego też za każdym prostym gestem życzliwości szukała ukrytych motywacji. Musiała jednak przyznać, że Elaine Harmon była

jedną z tych bezinteresownych kobiet, które na pierwszym miejscu stawiają dobro innych.

Przeciągnęła się i stwierdziła, że nie czuje się już wcale ospała i nieruchawa, a przeciwnie - odświeżona i pełna energii. Wszystkie poprzednie zmartwienia wydały się po przespaniu tych godzin po prostu głupie. Widocznie była tylko zmęczona, a człowiek zmęczony skłonny jest wyolbrzymiać problemy.

Ściągnęła pogniecioną w czasie spania sukienkę i wyjęła z walizki równie pogniecioną jedwabną spódnicę i bluzkę. Kiwając z politowaniem głową nad własną głupotą tłumaczyła sobie, że nic się nie zmieniło, że jest tą samą kobietą, która wczoraj przyjechała do tego miasteczka. To prawda, że wzruszyło ją cierpienie cielaka, przerażyły zniszczenia wywołane przez pożar i poruszyła własna reakcja na próby uwiedzenia przez tego mężczyznę - ale nic z tego nie zmieniło jej naprawdę. Frances Katharine Hudson była ciągle panią swego losu.

Szmaragdowa, jedwabna bluzka, chociaż pogniecioną, układała się pięknie na ramionach, a spódnica spływała z wciętej talii i szczupłych bioder. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze i ułożyła włosy tym razem nie w gładki kok, lecz w lśniące fale, powtarzając sobie, że nie zmieniła się ani trochę. Gdy już się uczesała, zeszła na dół do Elaine.

W cichym, pustym pokoju, który opuściła, leżały na toalecie zapomniane spinki do włosów, połyskując w blasku popołudniowego słońca, którego promienie wpadały przez okno.

- Trochę tu inaczej niż w filharmonii, prawda? - zaśmiała się Elaine.

Obie siedziały w parku na ławce przed podium dla orkiestry, słuchając Nowthen Senior Citizens' Band, która z werwą, lekko fałszując, grała znajomego marsza.

- Może i tak - odpowiedziała Frances, uśmiechając się do muskularnego starszego pana, dmącego na tubie - ale tam nie jest nawet w połowie tak zabawnie.

Elaine uśmiechnęła się na taką odpowiedź, z czego Frances wywnioskowała, że chyba trafiła w sedno. Odchyliła się na ławce, myśląc, że mimo swego stroju, wyróżniającego się w tym tłumie niebieskich dżinsów i podkoszulków, nie czuje się tu wcale wyobcowana. Zawdzięczała to oczywiście Elaine, która przedefilowała z nią jak kwoka z kurczęciem przed szeregiem kiosków z daniami, zapoznając ją w ciągu pół godziny z większą liczbą ludzi, niż Frances zdołała poznać w ciągu ostatnich sześciu lat. Każdemu przedstawiała ją jako Frannie - nie Frances Hudson, inspektora do spraw ubezpieczeń w Northeastern Casualty.

Frances wypila dwa piwa - zimne butelki podawane były z beczki z lodem - zjadła dwa hot dogi na bułeczkach domowego wypieku, tak ciepłe, że jeszcze czuła gorąco na wargach, a teraz zmagala się z całą górą lodów, które topiły się jej w palcach.

Elaine siedziała obok na ławce. Ciemne oczy błyszcząły, a małe usta uśmiechały się życzliwie. Mimo pełnej figury szacownej matrony wyglądała bardzo dobrze w dżinsach i wpuszczonym do spodni podkoszulku.

- Cieszę się, że dotrzymałaś mi towarzystwa, Frannie. Franklin martwił się, że zostanę w domu sama i będzie mi smutno bez niego. Na

pewno tak byłoby, gdybyś nie zgodziła się przyjść tu ze mną. Ale ty też jesteś zadowolona, prawda?

- Tak - odpowiedziała Frances, uświadamiając sobie z zaskoczeniem, że Elaine ma rację.

Nadchodzący wieczorny chłód ogarnął soczystą parkową zieleń, przynosząc ulgę po nieznośnie gorącym dniu. Zachodzące słońce kładło na trawie długie cienie, drzewa szeptały, poruszane lekkim wietrzykiem, zagłuszonym przez gwar tego towarzyskiego spotkania przyjaciół. Nie było tu żadnych uroczystych strojów, żadnej ceremonialności, orkiestrze starszych panów daleko było do orkiestry symfonicznej - a jednak Frances dobrze się bawiła. I to było godne zastanowienia.

- O, jest Beth! - zawołała nagle Elaine, zrywając się z ławki. - Muszę z nią minutkę porozmawiać. Nie masz nic przeciw temu, kochanie? - I zanim Frances zdążyła odpowiedzieć, już jej nie było.

Frances spoglądała za nią, zaskoczona tym nagłym odejściem, kiedy ktoś z tyłu podszedł, żeby zająć miejsce Elaine. Frances odwróciła głowę i spojrzała prosto w błękitne oczy, które w świetle zachodzącego słońca wydawały się mienić barwami tęczy.

Usta Ethana drgnęły, jakby cieszył się ze splatanego figła.

- Nie jesteś przyzwyczajona do takiego nocnego życia, prawda?

Chrząknęła.

- Niezupełnie.

Ethan kiwnął głową i utkwiał wzrok w trójce dzieci unoszących się wysoko na huśtawce.

- Popatrz. - Zadumał się. - Jest drugi wtorek czerwca. Co robiłabyś teraz w Bostonie? Koncert popularny? Muzyka kameralna? A może balet?

- No... ja... A skąd ty tak dobrze wiesz, na co można pójść w Bostonie?

Popatrzył wprost na nią, ale zignorował jej pytanie.

- A tak przy okazji, twój cielak ma się lepiej.

- Och! - Uśmiech wygładził jej twarz, rozjaśnił oczy. - Cieszę się.

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

- Masz kocie oczy, wiesz?

Zbyt szybko przeskakiwał z jednego tematu na drugi. Poczuli, że się rumieni i odwróciła szybko głowę. Zdażyła jednak w tym króciutkim spojrzeniu utrwalić w pamięci, jak na fotografii, jego wizerunek. Niebieska drelichowa bluza z podwiniętymi do łokcia rękawami, muskularne uda rysujące się pod wyblakłymi dżinsami, uśmiech błyskający bielą w opalonej twarzy, promienie zachodzącego słońca tańczące w jego włosach. Musiała gwałtownie zamrużyć powiekami, żeby uwolnić się od tego obrazu.

Wstrząsnęła się, czując, że Ethan bawi się pasmem jej włosów.

- Rozpuściłaś włosy. Boże, jakie są piękne! Jak można chować takie włosy?!

Frances zamarła, wstrzymując oddech, pewna, że wszyscy w tym parku - mężczyźni, kobiety i dzieci - widzą, co się dzieje na tej ławce.

- Założę się - szepnął Ethan miękko - że gdybym cię pocałował, poczułbym smak hot doga.

Frances zerwała się, nie mogąc już zapanować nad desperackim pragnieniem ucieczki.

- Frannie, ciągle uciekasz.

Zatrzymała się w pół kroku. Czowała zapach pieczonych hot dogów, mieszający się z wonią skoszonej trawy, słyszała senny świergot jakiegoś ptaka na gałązce nad głową. To była zwykła codzienność, nie było się czego obawiać, nie było przed czym uciekać. Opadła na ławkę, nakazując sobie spokój.

- Nie uciekam - powiedziała, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.
- To dobrze. Nie zniósłbym myśli, że się mnie obawiasz.
- Nie boję się ciebie.

Nie przypuszczała, że tak ją zaboli jego cichy, pełen niedowierzania śmiech.

- Może mnie się nie boisz, Frannie, ale z całą pewnością diabelnie się czegoś obawiasz. Może swoich własnych uczuć, bo ile razy zbliżam się do ciebie... - Dotknął jednym palcem jej ramienia, a ona odruchowo drgnęła. Poczowała drżenie warg. Zbyt łatwo odczytywał jej myśli.

- Jestem zdenerwowana - powiedziała słabym głosem - nie przestraszona.

Nagle, po raz pierwszy w życiu, zapragnęła, żeby ktoś dowiedział się, kim była, ile przeszła w życiu, jak wiele osiągnęła. Bać się? Owszem, bała się, i to wiele razy. Bała się, że mogłaby zostać uwięziona w błędnym kole ubóstwa, które pochłonęło najlepsze lata w życiu jej matki. Bała się, że pewnego dnia ktoś mógłby rozpoznać małą Frannie z czynszowej kamienicy i odrzucić ją. Lęk ten pozostawiła za sobą tego dnia, kiedy wsiadła do autobusu, który zawiózł ją do nowej pracy w Northeastern Casualty. Kiedy miała już ten dzień za sobą, przekonała się, że ludzie akceptują wizerunek, który się im przedstawia, i nie zaprzatają sobie

głowy, żeby dochodzić, co się pod nim kryje. Nigdy więcej już się niczego nie obawiała. Aż do tej pory.

Wrażenie jest najważniejsze, powtarzała sobie. Skoncentruj się na tym wrażeniu, jakie chcesz zrobić, a w końcu staniesz się tym, na kogo wyglądasz.

Odwróciła powoli głowę, patrząc na Ethana. Chociaż siedziała przy nim dziecinnie wyglądająca kobieta z włosami rozsypanymi na ramionach, której roztopione lody kapały z wafla na rękę, w głębi duszy nie przestała być kobietą, która przyjechała do tego miasteczka w wytwornej sukni, z włosami ciasno upiętymi w kok. Jej wewnętrzny obraz tkwił znów na swoim miejscu.

- Muszę już iść - powiedziała. - Powinam poszukać Elaine.
 - Elaine już dawno odjechała.
 - To niemożliwe. Przyszliśmy tu razem.
 - Ona wie, że jesteś ze mną. Właśnie dlatego nie zabrała cię ze sobą.
- Frances popatrzyła na niego zdumiona.
- A czyj to był pomysł? Uśmiechnął się, wzruszając ramionami.
 - Czy to nie wszystko jedno?

Powinna coś odpowiedzieć, ale żadne słowa nie przychodziły jej do głowy.

- Topaz - szepnął nagle Ethan, wpatrując się w jej oczy. - Masz oczy koloru topazów. Nigdy nie widziałem oczu o takiej barwie.

Frances powstrzymała się siłą od zamknięcia oczu, żeby uniknąć dalszych komentarzy. Co, do licha, jeszcze powie?

- Pobrudzisz się. Pozwól. - Wyjął delikatnie wafel z jej ręki i wrzucił do kosza na śmieci. Frances patrzyła na krople roztopionych lodów na palcach i sama dziwiła się sobie, jak mogła tego nie zauważyć.

Do ich ławki zbliżył się mężczyzna niosący w obu rękach butelki z piwem. Zamiast brudnego kombinezonu miał czyste spodnie i koszulę, ale Frances rozpoznała w nim od razu właściciela stacji benzynowej. Kiwnął głową Ethanowi i uklonił się Frances, po czym wręczył każdemu z nich zimną butelkę.

Frances spojrzała na jego czyste ręce, trzymając swoje z dala od sukienki. Ale mężczyzna schwycił jej lepką rękę i potrząsnął nią, zanim zdążyła go powstrzymać. Zaczerwieniła się.

- Lody... - wyjaśniła zakłopotana.

Bynajmniej nie zaskoczony, wyciągnął z kieszeni złożoną chusteczkę i wręczył jej.

- Czy poznałeś już pannę Hudson, Miles? - zapytał Ethan.

- Tak - odpowiedział Miles.

- Frannie - mruknęła Frances bezmyślnie, patrząc na starannie złożoną chustkę.

- Frannie - powtórzył. - Miło mi cię znowu widzieć. - Następnie oddalił się bez słowa.

Wielkie nieba, pomyślała, czy rzeczywiście to powiedziałam? Czy rzeczywiście przedstawiłam się jako Frannie? Spojrzała na Ethana oczami okrągłymi ze zdziwienia.

- Dlaczego on to zrobił?

- Dlaczego zrobił co?

- Przyniósł nam piwo. Dał mi chusteczkę.

- To jest małe miasteczko - powiedział Ethan po prostu, jak gdyby to mogło stanowić odpowiedź na jej pytanie.

- Ale ja tu jestem przecież obca.

- Obca byłaś wczoraj. - Ujął jej rękę najbardziej naturalnym na świecie gestem. - Chodźmy, miałaś pracowity dzień. Odprowadzę cię do hotelu.

Frances pozwoliła się prowadzić przez rzednący już tłum. Przeszli obok pomalowanego na biało podium dla orkiestry i wyszli na dość spokojną ulicę. Światła latarni roztaczały na chodniku złote kręgi, przez które prześwitywały kolorowe znaki narysowane kredą przez dzieci. Jakiś stłumiony, melodyjny świergot zdawał się towarzyszyć ich krokom. Frances uśmiechnęła się.

- Co to takiego?

- Żaby, świerszcze... normalne wiejskie odgłosy. Frances szła przy boku Ethana ukojona i zauroczona spokojem tego miasteczka. Kiedy stanęli przed wejściem do hotelu, Ethan uwolnił jej rękę i Frances dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez cały czas trzymał ją w swej dłoni.

Odwróciła się ku niemu, a kiedy spostrzegła, że stoi zbyt blisko, cofnęła się, uderzając niemal o drzwi. Zaczęła więc szybko paplać, chcąc ukryć nagle, dręczące uczucie, że znalazła się w pułapce.

- Dziękuję ci. Dziękuję, że mnie odprowadziłeś... Zapadła cisza, po czym Ethan odezwał się:

- Spójrz na mnie, Frannie.

Myśli kłębiły się w głowie dziewczyny. Odejdź stąd, Frances, mówiło jej coś. Odwróć się i zniknij w swoim pokoju. Zamknij drzwi za

sobą, bo będziesz żałować do końca życia. I, na miłość boską, cokolwiek zrobisz, nie patrz w te oczy.

Powoli, z wahaniem, uniosła wzrok.

Błękit jego oczu zdawał się rozkwitać jak dziwna gwiazda, która mknąc lśni z siłą eksplozji, a następnie wirując kurczy się do wielkości świetlnego punkcika. Frances poczuła nagle, że to światło chwyta ją, jakby była strzępem papieru w wirującym słupie szalejącego ognia. Błękitne oczy zbliżały się coraz bardziej i zanim Frances zdążyła pomyśleć, że teraz powinna się odsunąć, jego usta zadrżały przy jej wargach.

Nagły huk wypełnił jej uszy, jak gdyby znalazła się nagle w kolejce w lunaparku, pędzącej w dół z ostatniego wzniesienia. Czuła niemal wiatr napierający na nią, przygniatający piersi, wyrywający powietrze z ust, zanim mogła chwycić je w płuca. Przerażona, dała się porwać temu pędowi, a wtedy nagle przejażdżka się skończyła.

- Dobranoc, Frannie - szepnął Ethan przy jej ustach. Zanim zdążyła otworzyć oczy, stała już sama, znowu zupełnie sama.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Frances siedziała przy kuchennym stole Harmonów, a częściowo wypełniony formularz odszkodowania leżał przed nią przyciśnięty kubkiem parującej kawy. Elaine krzątała się między stołem a piekarnikiem, doglądając świeżych bułeczek cynamonowych, podczas gdy Franklin odpowiadał na pytania Frances. Ten tęgi, muskularny mężczyzna o dobrotliwej twarzy i grubym, poważnym głosem, od pierwszej chwili wzbudził jej sympatię. Patrząc na jego ręce owinięte białym bandażem, Frances drętwiała z przerażenia na myśl, co się pod nim kryje.

- A więc nie słyszeliście alarmów pożarowych? - zapytała, gryzmołąc ostatnią odpowiedź Franklina.

- Nigdy. I jeżeli chce pani znać moje zdanie, te przeklęte urządzenia zawsze zawodzą. Podłączyliśmy je do telefonu w naszej sypialni, wie pani, właśnie na wypadek czegoś takiego, co się zdarzyło, ale żadne z nas nic nie słyszało, dopóki Blackie nie zaczął ryczeć.

- Blackie?

- Nasz byk - wtrąciła Elaine, patrząc niespokojnie, jak na twarzy męża rośnie napięcie. Najwyraźniej strata tego byka poruszyła Franklina tak bardzo, jakby chodziło o kogoś z bliskich. - Czy to nie wszystko jedno, czy alarm działał, czy nie?

- Moglibyśmy wystąpić z oskarżeniem przeciwko producentowi, gdyby to było jakieś mechaniczne uszkodzenie - wyjaśniła Frances. - Rzeczywiście, zrobili państwo wszystko, co było możliwe, żeby zabezpieczyć waszą posiadłość. Instalując alarmy, telefony... - Jej wzrok przesunął się na zabandażowane ręce mężczyzny. Nie mogła nadziwić się

odwadze tego człowieka, który rzucił się do płonącego budynku, żeby ratować zwierzęta.

Franklin chrząknął, ale jego głos był wciąż zachrypnięty, kiedy próbował mówić:

- Ja po prostu... nie mogłem ich uratować. Frances spuściła wzrok, udając, że nie dostrzega, jak ten silny mężczyzna próbuje zapanować nad swoim żalem, żalem z powodu gromady niemych zwierząt. Frances nie mieściło się to w głowie.

- No dobrze - powiedziała ze sztucznym ożywieniem, odkładając pióro. - Myślę, że to wszystko, co było mi potrzebne. Chciałam teraz tylko poprosić pana o podpis na kopii tego formularza. Niezbędne są również akta weterynaryjne dotyczące oceny wartości zwierząt i protokołów straży pożarnej, ale nie będę już zawracać panu głowy tymi sprawami.

- Ty nam nie zawracasz głowy, Frannie - powiedziała Elaine. - I jeżeli całe to nieszczęście ma jakąś dobrą stronę, niewątpliwie jest nią poznanie ciebie.

- Och, dziękuję. - Frances uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Jak to miło słyszeć. Dziękuję. - Podniosła się. - Muszę już iść.

- To nonsens - powiedziała szybko Elaine. - Nie zjadłaś jeszcze śniadania, a poza tym, Ethan przyjedzie tu nie wcześniej niż za godzinę.

Frances zbladła. Czy jej uczucia są tak wyraźne, że nawet Elaine je dostrzegła?

- Ethan? Nie muszę się z nim już widzieć. Dlaczego pomyślałaś, że chcę się z nim zobaczyć?

Franklin uniósł ze zdziwienia siwe brwi.

- Przecież mówiłaś, że potrzebne są ci jego akta, tak?

- Och - Frances zaczerwieniła się ze złości. - Tak, oczywiście. Ale nie muszę go widzieć teraz rano. Właściwie w ogóle nie muszę się z nim widzieć - potrzebne mi są tylko te dokumenty. Mogę pójść do jego biura. Oczywiście, najpierw tam zadzwonię i umówię się z sekretarką.

Zdawała sobie doskonale sprawę z niedorzeczności tej paplaniny, widziała zakłopotanie i rozbawienie na twarzach Harmonów, ale nie mogła się powstrzymać. Dopiero Elaine jej przerwała:

- Ethan nie ma żadnej sekretarki - powiedziała łagodnie - ani biura. Pracuje poza domem, więc on sam musi dać ci te formularze. Jeżeli się śpieszysz, powiem mu, żeby zadzwonił do ciebie później do hotelu.

- Och, świetnie! Tak będzie najlepiej. Bardzo wam dziękuję.

Frances czuła jakąś dziwną, wzbierającą w niej histeryczną złość na siebie za to niewytłumaczalne, idiotyczne zachowanie. Wiedziała, że musi jak najprędzej opuścić ten dom. Wstała od stołu, pożegnała się pośpiesznie i odeszła, zostawiając Elaine i Franklina patrzących za nią w zamyśleniu.

Kiedy znalazła się sama na dziedzińcu, natychmiast się uspokoiła. Podwórko wydawało się opustoszałe, opuszczone. W jednej chwili poczuła się bardzo samotna. Czy dlatego, że po raz pierwszy znalazła się tutaj sama, bez Ethana?

Wzruszyła ramionami z irytacją i skierowała się w stronę samochodu. W połowie drogi usłyszała słabe beczenie cielęcia, dochodzące z małego białego budynku. Wydawało się jej, że ją woła. Uśmiechnęła się smutno, patrząc na swoje białe spodnie. Niszczenie ubrań stało się tu już zwyczajem!

- Hej, mała! - powiedziała miękko, kiedy weszła w chłodny cień obory, mrużąc oczy, żeby przywyknąć do ciemności.

- Kto to? - usłyszała od strony zagrody, a brzmiało to tak, jak gdyby cielak jej odpowiedział. Frances zamarło serce.

- Kto tu jest? - szepnęła przerażona.

Kiedy zbliżyła się ostrożnie do zagrody, jakaś postać wyrosła nagle z ciemności.

- Cześć - powiedziała wesoło nieznajoma. - Ty jesteś Frannie, prawda?

- Taak - odpowiedziała Frances z wahaniem, zatrzymując się przy wejściu. Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności i mogła zobaczyć młodą twarz jaśniejącą w mroku. Z twarzy tej biła ufność i miłość do całego świata. Dziewczyna była piękna - szczupła figura podlotka z twarzą, w której dominowały ciemne oczy z długimi rzęsami. Włosy miała czarne, lśniące, krótko przystryżone. Stała koło cielaka, opierając na jego głowie pięknie ukształtowaną rękę.

- Jestem Beth - powiedziała - asystentka Ethana. Widziałam cię wczoraj wieczorem w parku. Chciałam podejść i przedstawić się... - rysy jej twarzy lekko spochmurniały - ...ale Elaine powiedziała, żebym nie przeszkadzała.

Cielak wtrącił się do rozmowy, porykując cicho i wyciągając szyję do Frances. Beth spojrzała i zaśmiała się.

- Myślę, że powinnaś podejść do niej i przywitać się, zanim ona zrobi to pierwsza.

Frances zrobiła krok naprzód. Wyciągnęła rękę, a wtedy szeroki język przejechał po jej dłoni.

- Ethan ma rację - powiedziała Beth z uśmiechem. - To ciele po prostu zakochało się w tobie.

Frances zaśmiała się nerwowo. To wyraźne przywiązanie zwierzęcia podbiło jej serce. Przyklękając na macie, spojrzała uważnie na igłę, która ciągle tkwiła w nodze.

- Kiedy będzie można to wyjąć?

Beth podrapała cielaka za uchem.

- Prawdę mówiąc, powinniśmy to zdjąć wczoraj. Nie ma już niebezpieczeństwa odwodnienia. Ale ciągle ma zbyt przyspieszony puls i nie trzyma jeszcze prawidłowo butelki. Straciła w pożarze matkę, a przestawienie z mleka matki na mleko butelkowe jest zawsze jakimś wstrząsem, niezależnie od urazu spowodowanego poparzeniem.

Frances popatrzyła na dziewczynę, której wiedza jej zaimponowała.

- Ty też jesteś weterynarzem?

Beth zaśmiała się wesoło.

- Wielkie nieba, nie! Ja tylko robię to, co mi każe Ethan i chwytam po drodze trochę wiedzy.

- To chyba znacznie więcej niż „trochę wiedzy” - zauważyła Frances.

- Powinnaś pójść do college'u, uczyć się, żebyś mogła zostać weterynarzem. Elaine powiedziała, że naprawdę umiesz obchodzić się ze zwierzętami.

Beth wzruszyła ramionami.

- Po prostu kocham zwierzęta, to wszystko. Ale z pewnością nie chciałabym marnować w college'u sześciu lat życia.

- Marnować? - zdumiała się Frances. - Jak możesz tak mówić! Masz talent w tym kierunku, prawdziwy dar. Zmarnujesz go, jeśli nie będziesz tego rozwijać.

Beth spochmurniała, ale zaraz uśmiechnęła się.

- Przecież właśnie go rozwijam.
- Ale jesteś tylko jakimś tam asystentem. Mogłabyś być kimś więcej,
- Jedyne, czego bardziej pragnę, to zostać kiedyś żoną... -

zarumieniała się, z czym było jej bardzo do twarzy - ...i, w końcu, matką.

Frances patrzyła na nią, zbita z tropu. Przez tyle lat walczyła, żeby osiągnąć coś więcej ponad to, co tradycyjnie przeznaczone jest kobiecie. Nie przypuszczała, że spotka kogoś, dla kogo małżeństwo i macierzyństwo będzie najważniejszym celem w życiu.

- Czy nigdy nie pragnęłaś czegoś więcej? - wyszeptała.

Beth uśmiechnęła się.

- Może, gdybym urodziła się jako ktoś taki jak Ethan, pragnęłabym pieniędzy, kariery, strojów... tego wszystkiego. Ale uważam, że wzrastanie w takim miejscu jak to, daje wiele możliwości.

Frances stała nieporuszona, z ręką zastygłą na czole cielaka i oczami utkwionymi w twarzy Beth.

- Co masz na myśli, mówiąc „tak jak Ethan”? - zapytała, sztywniejac.

- No wiesz, w czepku urodzony i te rzeczy... służące, pieniądze, lepsze towarzystwo...

- Ethan? - szepnęła Frances.

Beth spojrzała na nią.

- Och, chyba nie miałaś jeszcze okazji dowiedzieć się tego, prawda?

On nigdy nie opowiada o swojej rodzinie. I, jak mi się zdaje, oni również nigdy nie rozmawiają o nim. Stał się dla nich czarną owcą, od kiedy skończył medycynę w Bostonie. Nie mogą znieść myśli, że wolał być wiejskim weterynarzem.

Zdumiona Frances mruknęła:

- Nic o tym nie wiedziałam. To godne zastanowienia.

- Ethan jest w ogóle godnym uwagi mężczyzną - dodała Beth.

Frances zwróciła wzrok na cielaka, który trącał niecierpliwie jej rękę, obracając ku niej łzawe oczy jakby w niemej naganie, że się nim nie zajmuje. Zmuszona przez jakiś impuls, którego nie była w stanie pojąć, Frances ogarnęła ramionami szyję zwierzęcia i przytuliła policzek do jego głowy.

- No dobrze już, dobrze, dziecko - mruzczała, myśląc, że takim uczuciem nigdy nie potrafiłaby obdarzyć ludzkiej istoty. - W porządku. Wszystko będzie dobrze.

- Kochasz ją, prawda? - zapytała miękko Beth. Frances zastanawiała się przez chwilę, co odpowiedzieć.

- Coraz bardziej ją lubię - powiedziała w końcu.

Jadąc do miasta uśmiechała się, mając w pamięci rozmowę z Beth. Niezależnie od tego, że dziewczyna była miła i sympatyczna, promieniowało z niej dobro. Była piękna i inteligentna. Należała do tego rodzaju kobiet, które mogą mieć świat na wyciągnięcie ręki. Ona jednak nie chciała tego świata. Pragnęła tylko mieć w nim swoje miejsce, i na tym polegał jej niezwykły urok.

Beth i ja jesteśmy mimo wszystko bardzo podobne do siebie, myślała Frances. To prawda, że pragniemy od życia czegoś zupełnie innego, ale obie zawsze wiedziałyśmy, czego chcemy i nigdy nie zboczyłyśmy z obranej drogi.

Westchnęła, zastanawiając się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby była na miejscu Beth, dorastając w takim miasteczku jak Nowthen, gdzie wszyscy sąsiadują ze sobą i są zaprzyjaźnieni. Może i jej życie

wyglądałoby inaczej, gdyby nie śmierć ojca, kiedy była małym dzieckiem, a potem dzieciństwo spędzone w biedzie. Może wtedy potrafiłaby być pogodną optymistką, ufającą ludziom.

Nie mogła dłużej o tym myśleć. Dawno już nauczono ją, że roztrząsanie przeszłości w niczym nie zmieni przyszłości. Tylko praca może wpłynąć na to, jak potoczą się losy człowieka, ale potrzebna jest do tego determinacja i siła woli. Frances nigdy tego nie brakowało... dopóki nie spotkała Ethana Alexandra. Nie okazała silnej woli, kiedy pocałował ją w szopie, a potem przy drzwiach hotelu. Prawdę mówiąc, nie tylko nie okazała silnej woli, ale ujawniła, że nie jest w stanie zapanować nad sobą. Zdarzyło jej się to po raz pierwszy w życiu. Oczywiście, interesowali się nią mężczyźni: bogaci, wytworni, wyrafinowani, ale żaden nie poruszył jej tak, jak ten prosty wiejski weterynarz.

Ale przecież on nie jest prostym wiejskim weterynarzem, przypomniawszy sobie. Przeciwnie, okazał się mężczyzną tajemniczym, skomplikowanym, z przeszłością nikomu nie znaną, jak jej własna. Nie tylko porzucił miejsce, które wydawało się jej szczytem ludzkich osiągnięć, ale w dodatku zrobił to z własnej woli i wyboru. Co skłania ludzi do takich decyzji?

Margaret odkurzała właśnie biurko w holu, kiedy Frances weszła do środka.

- Bój się Boga, co ty wyprawiasz?! Ile razy wracasz stamtąd, wyglądasz jakbyś się tarzała po podwórku! Nie uważasz, że najwyższy czas, żebyś kupiła sobie odpowiednie ubranie?

Frances popatrzyła na brudne smugi na białych spodniach i uśmiechnęła się do Margaret.

- Gdzie mam pójść i co kupić? - zapytała.

- Pójdę z tobą - powiedziała Margaret, próbując nadać swemu głosowi burkliwy ton. Zdjęła fartuch i położyła go na biurku. - Będiesz potrzebowała pomocy, jeśli nie chcesz wyglądać jak ktoś nietutejszy.

Frances podążała za nią ku drzwiom, czując się, jak gdyby już była tutejsza.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Frances stała przed lustrem, myśląc, że wygląda równie głupio w kraciastej bluzce i džinsach, jak Margaret wyglądałaby w sukni od krawca. Poruszając palcami w sztywnym płótnie nowych tenisówek, doszła do wniosku, że nawet jej stopy wyglądają zabawnie. Mimo że na farmie Harmonów zniszczyła już tyle ubrań, była przekonana, że nie może pokazać się publicznie w takim stroju.

Przestraszyła się nagłego pukania do drzwi, ale zaraz przypomniała sobie, że Margaret obiecała jej przynieść czyste ręczniki.

- Wejdz, Margaret! - zawołała nie oglądając się. - Ty wybrałaś to ubranie, więc możesz być pierwszą osobą, która będzie się z niego śmiała.
- Udając krok modelki odwróciła się w stronę drzwi - i zamarła.

Przy drzwiach stał Ethan, ubrany w jednoczęściowy kombinezon, z twarzą pobladłą ze zmęczenia. Powoli, lecz zuchwale, wzrok jego przeniósł się od czubków jej tenisówek w górę, zatrzymując się tam, gdzie bluzka przylegała do miękkich kształtów piersi. Frances poczuła na twarzy falę gorąca.

- Lepiej. Dużo, dużo lepiej - pochwalił.

- To był pomysł Margaret - mruknęła, czując, iż nie może oderwać od niego wzroku. Nie zwróciła nawet uwagi, że cofnął się, żeby zamknąć za sobą drzwi i dopiero odgłos trzaśnięcia obudził ją z odrętwienia. - Ja... ja zniszczyłam na farmie wszystkie ubrania - wyjąkała. Ethan uśmiechnął się kącikiem ust.

- To się zdarza. - Wskazał na swój poplamiony kombinezon. -
Właśnie wracam z obory, gdzie mnie wezwano.

- Czy stało się coś złego? - Poruszyła się nerwowo. - Dlaczego jesteś tutaj? - Wstrzymała oddech. - Cielak...?

- Z cielakiem wszystko w porządku - odparł nie spuszczać z niej wzroku.

- Och, to dobrze. - Odetchnęła z ulgą, zastanawiając się, co jeszcze powinna powiedzieć.

- Elaine mówiła, że potrzebne ci są moje akta. Frances kiwnęła głową. Poczowała ulgę, ale i rozczarowanie, że jest to jedyny powód jego odwiedzin.

- Więc chodźmy - powiedział.

Frances stała nieruchomo, pragnąc, żeby przestał patrzeć na nią tak uważnie.

- Właśnie miałam zejść na kolację...

- Zjemy u mnie. Zrobię coś do jedzenia. Uśmiechnęła się lekko, ale w myślach rozpaczliwie szukała pretekstu, żeby odmówić Ethanowi. Wiedziała, że nie powinna jechać, bo grozi jej tam prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Zgoda - usłyszała, jak wypowiadają jej usta, zanim zdołała temu zapobiec. - Muszę tylko się przebrać.

- W co?

- W coś bardziej odpowiedniego. - Wskazała bez przekonania na swoje ubranie.

Ethan uśmiechnął się.

- To jest bardzo dobre, Frannie. Po prostu świetne. Odgarnął ręką rozwichrzzone pasma włosów z czoła, a ruch ten niemal ją zahipnotyzował.

Później, kiedy jechała już swoim samochodem za jego pikapem, przyszło jej do głowy, że pojechałaby z nim ubrana nawet w stary worek, gdyby stwierdził, że jej w nim do twarzy. Nie miała żadnej możliwości wyboru - pojechać czy nie, ubrać się tak czy inaczej. Czuła, że zrezygnowała już z samokontroli i, co dziwniejsze, przestało ją to przerażać.

Kilka kilometrów na wschód od miasta skręcili na drogę gruntową, przy której stał drewniany drogowskaz: „Ethan Alexander - doktor nauk weterynaryjnych”. Frances spodziewała się, że dom Ethana będzie położony przy głównej drodze, w miejscu łatwo dostępnym dla każdego. Tymczasem droga dojazdowa była bardzo wąska i powinna raczej odstraszyć niż zachęcić do skorzystania z usług weterynarza. Drzewa rosły gęsto po obu stronach, a ich gałęzie ocierały się o samochód. Były tak grube, że przepuszczały niewiele promieni słonecznych, które - przesiane przez liście - układały się złocistymi cętkami na paprociach rosnących pod drzewami. Droga pięła się stromo w górę. Frances miała poczucie, że nagle znalazła się na nie uczęszczanym szlaku prowadzącym do tajemniczej kryjówki zbiega; szlaku umyślnie utrudnionym, żeby zniechęcić intruzów.

Droga kończyła się wielką, słoneczną polaną, która odsłaniała malowniczy widok na New Hampshire White Mountains, rozciągające się na północy. Na najwyższym miejscu polany stał dom z drewnianych bali, zwrócony frontem w stronę gór. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że tu kończy się świat, a dom stoi na jego krawędzi. Linie dachu przecinały błękitne niebo ostrymi kątami, a każde okno odbijało krajobraz, ku któremu było skierowane.

Ethan pierwszy wysiadł z samochodu, obserwując wyraz twarzy Frances, która po wyjściu obróciła się wokoło, patrząc na lasy, odległe góry, a wreszcie na dom. Krótka chwila obserwacji wystarczyła, żeby upewniła się, że to jest właśnie kryjówka Ethana Alexandra. Tak jak ona ukrywała się w swoim pełnym kosztownych przedmiotów domu miejskim przed ubóstwem, które ją zrodziło, Ethan ukrywał się tutaj, w tej bezmiernej ciszy i pustce, przed miejscem i życiem, które pozostawił za sobą.

- Nie mogłeś już dalej uciec od swojej przeszłości, prawda? - zapytała łagodnie, patrząc mu prosto w oczy.

Cofnął się.

- A więc wypytałaś nie tylko o pożar na farmie Franklina, tak?

Potrząsnęła głową.

- Wcale nie miałam takiego zamiaru. Spotkałam dziś rano Beth i ona opowiedziała mi trochę o tobie.

- Dużo?

- Nie bardzo. Ethan uśmiechnął się.

- Chodź, Frannie. - Wziął ją za rękę tak zwyczajnie, jak gdyby nigdy przedtem nie protestowała, i poprowadził do bocznych drzwi.

- Główne wejście prowadzi do biura - wyjaśnił.

Weszli do ogromnej kuchni, której ściany z drewnianych bali i wiszące miedziane rondle, błyszczące w promieniach słońca, przydawały ciepła i przytulności.

- Najpierw napijemy się wina - zaproponował Ethan, zapraszając Frances, by usiadła na stołku przy barze - a potem ja wezmę prysznic, a ty tymczasem przejrzyj sobie akta.

Wino okazało się wspaniałym, delikatnym beaujolais, w którym łatwo można znaleźć zapomnienie, zwłaszcza kiedy ma się uwagę skupioną na czymś innym... na przykład takim, jak para tych migotliwych błękitnych oczu, spoglądających zza dzielącego ich baru.

- Wino jest wspaniałe - powiedziała Frances, bardziej z potrzeby przerwania kłępującej ciszy, niż dla pochwały jego wyboru, pijąc następny łyk zbyt szybko po pierwszym. Przyglądała się butelce stojącej między nimi, po czym zapytała, patrząc na etykietę:

- Czy każdego wieczoru pijesz takie wino?

- Skądże.

- Och! - Pożałowała od razu tego pytania, ponieważ z tonu jego odpowiedzi mogła wywnioskować, jak ważna jest dla niego jej obecność tutaj. Wolalaby udawać, że o nic nie pytała, że on nic nie odpowiedział, a wtedy nie musiałaby przyznawać się...

- Jesteś tu pierwszy raz. Musimy to uczcić. Frances uśmiechnęła się nerwowo, starając się zmienić temat.

- Od jak dawna mieszkasz w Nowthen?

- Osiem lat. Przyjechałem tu prosto po szkole weterynaryjnej.

- Beth mówiła, że studiowałeś medycynę.

- Rzuciłem ją. Głównie na złość mojemu ojcu.

Frances uniosła ze zdziwieniem brwi, a Ethan westchnął.

- Mój ojciec jest lekarzem, dziadek jest lekarzem, i jego ojciec też był lekarzem. Jestem pierwszym synem z rodziny Alexandrów, który zerwał z tą tradycją. Takich rzeczy w mojej rodzinie się nie wybacza.

- Ale sam mówiłeś, że jesteś lekarzem. Potrząsnął głową z uśmiechem.

- W mojej rodzinie lekarz powinien nosić trzyczęściowy garnitur, stetoskop z monogramem i w każdą środę grywać w golfa.

- Ty nie musiałeś być taki sam. Mogłeś zostać lekarzem, który troszczyłby się przede wszystkim o swoich pacjentów.

- Rzecz w tym, że ja wtedy nie lubiłem ludzi. Wszyscy, których znałem, byli podobni do mojego ojca - powierzchowni, opętani robieniem kariery, pochłonięci gromadzeniem bogactwa. - Wzruszył ramionami, a Frances siedziała bez ruchu, myśląc, że właśnie opisał ją.

- Przecież to nic złego, że ktoś dba o swoją pozycję materialną i stara się ją poprawiać - powiedziała spokojnie.

- Oczywiście, że nie. Dopóki bogactwo nie stanie się ważniejsze od tego, co rzeczywiście się liczy.

- Na przykład co?

- Na przykład stosunki międzyludzkie, pokrewieństwo...

Frances poruszyła się niespokojnie. Rozmowa zbaczająca na niebezpieczne tematy, stawała się kłopotliwa.

- Czas już chyba, żebym wziął prysznic przed kolacją - powiedział Ethan, dostrzegając jej zakłopotanie. - Zaprowadzę cię najpierw do biura.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, zatłoczonego nadmiarem szafek wypełnionych papierami. Ethan położył na biurku dokumenty dotyczące inwentarza Harmonów i wyszedł. Frances z najwyższym wysiłkiem koncentrowała się na pracy, nie tyle z powodu wypitego wina, ile z powodu odgłosów dobiegających z łazienki. Musiała odnaleźć tylko kilka danych statystycznych, dotyczących zwierząt, które zginęły w czasie pożaru, ale nie była w stanie skupić uwagi na dokumentach.

Różne szmery rozpraszały jej uwagę - tykanie ściennego zegara, świergot ptaków za oknem, jakieś skrobanie do drzwi za jej plecami.

Odwróciła się w tym kierunku i podniosła głowę, nasłuchując. To chyba jakieś małe zwierzątko, może ulubieniec Ethana, zamknięty niechcący w szafie.

Wstała z krzesła, żeby go uwolnić i nagle poczuła, że brak jej powietrza, tak silne było uderzenie drzwi w jej klatkę piersiową. Do pokoju wpadł warczący czarnobrazowy pies i skierował się ku niej z groźnie opuszczoną głową i warczeniem wzbierającym głęboko w gardle.

Frances stała jak sparaliżowana, patrząc szeroko otwartymi oczami na uniesioną górną wargę owczarka niemieckiego, odsłaniającą wielkie białe zęby.

- O Boże, o Boże - powtarzała bezgłośnie. Chciała krzyknąć, ale ze strachu nie mogła wydobyć z siebie głosu. Chciała uciekać, ale instynkt nakazywał jej nie ruszać się z miejsca. W pokoju słychać było tylko powarkiwanie psa i głucho uderzenia serca Frances.

- Ethan - wyszeptała nareszcie, nie spuszczać oka z psa. Gdyby ją teraz zaatakował, próbowałaby rzucić się do tego pokoju, w którym był zamknięty, i zatrzaskać drzwi za sobą - jeśliby jej nie uprzedził. Pies nie poruszył się jednak, głowę miał ciągle nisko opuszczoną, sierść zjeżyła mu się na grzbiecie.

- Ethan - odważyła się powiedzieć trochę głośniejszym głosem, a pies ciągle trwał w bezruchu. Postanowiła zaryzykować krok w kierunku drzwi, ale kiedy się poruszyła, pies, ujadając, rzucił się do przodu.

Frances nie wytrzymała dłużej napięcia. Krzyknęła przeraźliwie i krzyczała cały czas, nie mogąc przestać. Biuro napełniło się odgłosem szalonego ujadania psa i przeszywającego krzyku Frances.

Dziewczyna umilkła, kiedy Ethan wpadł do pokoju. Był jeszcze mokry, kąpielowy ręcznik owinał wokół bioder. Zatrzymał się w drzwiach przenosząc wzrok z Frances na psa.

- Nie ruszaj się, Frannie - nakazał spokojnie, po czym całą uwagę skupił na psie. Przyklęknął na jedno kolano, wyciągnął dłoń i powiedział łagodnie:

- No, mała, wszystko jest w porządku. Nikt nie chce ciebie skrzywdzić. Chodź tu, mała. Podejdź do mnie, Frances...

- Frances? Twój pies nazywa się Frances? Uciszył ją, rzucając krótkie, gniewne spojrzenie, po czym dalej przemawiał uspokajającym tonem do psa:

- Chodź tu, mała. Wszystko w porządku. Chodź do mnie.

Frances patrzyła podejrzliwym wzrokiem, jak pies zrobił kilka kroków na sztywnych nogach w stronę Ethana, z głową ciągle spuszczoną.

Zaraz go zagryzie, pomyślała. Najpierw zabije jego, potem mnie, a później zeżre nas oboje.

Wydawało się jej, że nie zniesie oczekiwania, aż pies przejdzie przez ten mały pokój do wyciągniętej ręki Ethana. Czekala wstrzymując oddech, kiedy złośliwa bestia rzuci się i zatopi kły w jego dłoniach. Oparła się o ścianę, czując, że robi się jej słabo.

- To moja dziewczynka - mruczał Ethan, wsuwając palce jednej ręki pod obrozę owczarka, jednocześnie głaszcząc drugą ręką jego łeb. -

Przybłąkała się tutaj - wyjaśnił, nie podnosząc wzroku. - A sądząc z jej

wyglądu, musiała długo przedtem być w drodze i dawać sobie sama radę. Ktoś najwidoczniej kopnął ją solidnie parę razy. Ma siniaki tu i tu. - Pokazał dwa miejsca na grzbiecie.

Frances pokręciła głową kilka razy, ale zastygła bez ruchu, widząc, że pies podniósł łeb.

- To morderczyni - wyszeptała. - Ona chciała mnie zabić. Powinieneś zobaczyć, jak wpadła tu jak pocisk, warcząc...

- Gdybyś podniosła na nią głos, prawdopodobnie uciekłyby z podwiniętym ogonem. Ale ty ją przestraszyłaś. Nikt oprócz mnie nie otwierał jej tych drzwi.

Frances spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Czyś ty oszalał? Wcale jej nie przestraszyłam! Mówię ci przecież, że chciała rzucić się na mnie!

Ethan przygryzł wargi i zasepił się.

- Mam nadzieję, że się mylisz. Nie mógłbym znieść myśli, że muszę z nią skończyć.

- Skończyć?

Kiwnął ponuro głową.

- Uśpić ją. Zabić. Musiałbym to zrobić, gdyby się okazało, że w strachu przed ludźmi może zaatakować bez powodu.

Frances nachmurzyła się.

- Przecież jesteś weterynarzem! Ty masz ratować zwierzęta, a nie zabijać je.

Zaśmiał się gorzko.

- Tak się dzieje tylko w doskonale urządzonej świecie. Ale w świecie, w którym my żyjemy, zdarzają się również ludzie, którzy znęcają

się nad zwierzętami. Kiedy zwierzęta długo traktuje się źle, po pewnym czasie zachowują się tak, jakby każdy był ich wrogiem. - Podniósł wzrok i Frances zobaczyła w jego oczach łagodny i miękki wyraz. - One nie różnią się tak bardzo od nas, prawda?

Zacisnęła wargi, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ethan powstał z westchnieniem.

- Chodź, Frances - powiedział do psa. – Musisz wrócić na swoje miejsce. Może ty i Frannie poznacie się nawzajem innym razem.

Frances odsunęła się szybko od drzwi, nie spuszczając oczu z psa, kiedy Ethan prowadził go do drugiego pokoju. Nie była w stanie rozluźnić naprężonych mięśni, dopóki drzwi nie zamknęły się za nimi. Kolana jej się trzęsły i musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść.

- Frannie, tak mi przykro, że ona cię przestraszyła...

- Powiedziałeś, że się przybłąkała. Kiedy to było?

Ethan udał, że się zastanawia.

- Poczekaj, pomyślę. Kilka dni temu...

- Tego dnia, kiedy ja przyjechałam? - nalegała, a on próbował powstrzymać uśmiech.

- Może. Chyba tak.

- Nazwałeś tego psa moim imieniem, tak? - powiedziała oskarżycielskim tonem.

Nie krył już uśmiechu, dzięki czemu wyglądał bardzo chłopcęco.

- Obie jesteście nowe w tym mieście.

Frances prychnęła z irytacją, a Ethan zaśmiał się.

- Kiedy skończysz z dokumentami, przyjdź do kuchni. Zrobimy razem kolację.

- Razem?
- Potraktuj to jako próbę.
- Próbę czego?
- Czego zechcesz, Frannie.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Frances pracowała w małym biurze jak mogła najprędzej, podrywając się na najłżejszy szelest dobiegający zza drzwi. To są mocne drzwi, powtarzała sobie, nie ma obawy, żeby pies się wydostał. Chciała jak najszybciej opuścić to pomieszczenie. Pies był stanowczo za blisko, chociaż oddzielały go od niej zamknięte drzwi.

Wypełniła w końcu formularze, wstała krzywiąc się, kiedy stare krzesło zapiszczało pod nią, i na palcach przeszła do holu, wstrzymując oddech. Zatrzymała się w drzwiach kuchni.

Ethan stał tyłem do niej przy kuchennym blacie, ubrany teraz w luźne czarne spodnie i pomarszczoną białą koszulę. Przypominał jej bohatera filmu o piratach, który oglądała będąc małą dziewczynką. Obserwowała go przez chwilę, nie odzywając się. Kroił coś na długiej stolnicy tak zręcznie, jakby był co najmniej mistrzem kucharskim. Widziała grę jego mięśni pod cienką tkaniną koszuli, rytmiczny ruch głowy w takt odgłosów siekania nożem - i wtedy on znieruchomiał nagle, podniósł głowę i obejrzał się.

- Cześć. Znalazłaś wszystko, co ci było potrzebne?

Kiwnęła głową w milczeniu. Poczula rumieniec występujący na twarzy, kiedy jego spojrzenie objęło całą jej postać. Nie było to spojrzenie pożądlive ani uwłaczające - było czymś w rodzaju życzliwego oszacowania. Mimo to sprawiło jej przykrość, ponieważ zdawała sobie sprawę, że ma na sobie to krępujące ją ubranie. Nie przywykła do ciężkiego, obcisłego drelichu przylegającego do nóg, do bluzki uciskającej

piersi, do żadnego tego typu stroju, który sprawia, że kształty są tak nieprzyzwoicie uwydatnione.

Nerwowy uśmiech przebiegł przez jej twarz, kiedy powiedziała:

- W twoich dokumentach są dane dotyczące całego bydła

Harmonów. Chciałabym mieć kopie dotyczące krów, które zginęły, jeśli to możliwe. Potrzebuję czegoś stwierdzającego ich wartość, zanim wypełnię formularz odszkodowania.

Skinął głową, nie patrząc na nią.

- Nie ma sprawy. Dostarczę ci je jutro.

Frances poczuła nagle ostry ból w dłoniach i spojrzawszy na nie, stwierdziła, że zaciskała je tak mocno, że skóra pod paznokciami zupełnie zbielała.

- Należę ci jeszcze wina.

Podążyła za nim w kierunku barku, wdzięczna mu ogromnie za jakąś odmianę. Upiła łyk i usłyszała, że jego nóż znowu pracuje.

- Zaczynij może kroić selery, a ja przez ten czas dokończę to - zaproponował Ethan nie patrząc na nią.

Pęczek selerów leżał na desce obok groźnie wyglądającego noża. Frances spojrzała nieufnie na lśniące ostrze, wytarła ręce o spodnie i zbliżyła się.

- Jak mam to pokroić?

- Najlepiej w paski. Mam nadzieję, że lubisz podsmażone selery.

Frances ostrożnie, z wahaniem, ujęła nóż, a następnie zaczęła kroić zielone liściaste łodygi ze szczególną uwagą. Tak była na tym skupiona, że nie zauważyła, iż Ethan obserwuje ją kątem oka, próbując powstrzymać uśmiech.

To nie jest nawet takie straszne, pomyślała po jakimś czasie, patrząc na małe zielone półksiężycy, padające rządkiem pod jej nożem. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz przygotowywała jakiś posiłek. Rzadko jadła w domu, a jeżeli już, to zwykle był to jakiś obiad z puszki, który prosto z zamrażarki wędrował do piekarnika. Dla jej matki taki sposób przygotowywania posiłków był po prostu nie do przyjęcia. Frances uśmiechnęła się z zadumą, przypominając sobie obiady, które przygotowywały wspólnie. W małym mieszkanku szykowanie posiłków było zawsze wyrazem jakiejś więzi między nimi. To były najlepsze czasy - te godziny spędzone w małej kuchni pełnej smakowitych zapachów, gdzie matka stale nuciła coś półgłosem.

Nie odrywając oczu od swojej pracy, Ethan uśmiechnął się, kiedy usłyszał, że Frances nuci jakąś piosenkę.

- Lubisz gotować, prawda?

Frances podniosła głowę i pomyślała chwilę, zanim odpowiedziała:

- Robiłam to zawsze, kiedy mieszkałam razem z matką. Od tego czasu w ogóle nie gotuję.

- Bo to żadna przyjemność robić takie rzeczy samemu - westchnął. - To jedna z tych czynności, którymi trzeba dzielić się z kimś drugim, żeby odczuwać prawdziwą radość.

Frances spojrzała na niego zaskoczona.

- Tak właśnie zawsze mówiła moja matka. Zaśmiał się.

- Czuję, że to kobieta w moim typie!

Frances pilnowała się, żeby nie spojrzeć mu w oczy. Matka była dokładnie kobietą w jego typie. Tak jak on uważała, że kobieta nie jest kobietą, jeśli nie ma męża, domu i dzieci.

- Myślę, że ty również byś się jej podobał - mruknęła. - Czy zawsze gotujesz tak jak teraz?

- Tylko kiedy mam towarzystwo. Podobnie jak ty, nie lubię gotować, kiedy jestem sam.

- Jakie towarzystwo?

Nóż Ethana połyskiwał nad młodą marchewką.

- Od czasu do czasu przyjeżdżają Franklin i Elaine. Beth je tu zawsze z wielkim apetytem, zwłaszcza kiedy mamy za sobą długi, pracowity dzień. Jak ci idzie? - Zajrzał jej przez ramię. Poczowała muśnięcie jego włosów na policzku i natychmiast zeszywniała, nie przyzwyczajona do czyjejś tak bliskiej obecności. Nóż prześliznął się tuż-tuż obok jej palca.

- Uważaj!

Kiwnęła głową, rumieniąc się lekko, a potem wzięła nóż, żeby dokończyć krojenia.

- Proszę - powiedziała z dumą, odsuwając się od stołu - wszystko skończone. Czy jeszcze mam coś zrobić?

- No... nie.

Frances spojrzała na drugi koniec stołu i zobaczyła cały stos pokrojonych warzyw i mięsa. Patrzyła na to przez chwilę, po czym przeniosła wzrok na swoją wzruszająco małą kupkę selerów, zastanawiając się, jak długo już Ethan czekał uprzejmie, kiedy ona skończy. To było okropne. Mężczyźni nie powinni odnosić takich sukcesów, rywalizując z kobietami w kuchni!

- Świetnie zrobione - pochwalił Ethan, zakłopotany w równym stopniu tym, że sam zrobił tak dużo, jak i tym, że Frances zrobiła tak mało.

- Spójrz tylko! Każdy kawałek jest dokładnie tej samej wielkości!

Odwróciła głowę i napotkała jego wzrok. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

Usadowiwszy się na drewnianych taboretach, jedli przy barze w kuchni, patrząc na zapadający za oknami zmierzch. Ostry zapach sosen unosił się z otaczających lasów, mieszając z kuchennymi zapachami imbiru i czosnku.

- To było bajeczne - westchnęła Frances, odkładając widelec i wycierając usta serwetką. Zrobiła pauzę dla większego efektu i dodała figlarnie: - Zwłaszcza selery.

- O Boże - powiedział, udając zaskoczenie. - Ależ ty masz poczucie humoru?!

- Wcale nie. - Uśmiechnęła się. - Zapytaj kogoś, kto mnie zna.

Ethan odstawił talerze, oparł ramiona o bar i spojrzał na nią uważnie.

- Co by oni powiedzieli, Frannie? Ci ludzie, wśród których żyjesz? Jak by ciebie opisali?

Frances wsunęła do ust ostatni kawałek chrupiącej bułeczki i zastanowiła się nad tym pytaniem. Niewielu ludzi zajmowało miejsce w jej życiu, poza pracą, oczywiście.

- No... pewnie powiedzieliby, że dobrze wykonuję swoją pracę.

Patrzył na nią wyczekująco.

- Mów dalej.

Mówić dalej? Co on może mieć na myśli? Próba ciągłego posuwania się do przodu pochłonęła osiem lat jej życia. To nie był najodpowiedniejszy czas, żeby poznawać ludzi ani pozwalać im poznawać siebie. Jej współpracownicy byli właściwie jedynymi osobami, z którymi

w tym czasie miała kontakt, a cóż jeszcze oni mogliby o niej powiedzieć?
Że się gustownie ubiera?

Szukała w myślach odpowiedzi, aż wreszcie jej twarz rozjaśniła się.

- Mówią, że jestem kobietą, która umie panować nad sobą -
powiedziała dumnie. - Kobieta, która wie, czego chce. Kobieta, która cały
czas pnie się w górę, która realizuje swój cel.

- Jaki cel, Frannie? - zapytał łagodnie. Zakłopotana Frances
zmarszczyła brwi.

- Stworzyłam sobie sama wygodne życie. - Czuła rozdrażnienie we
własnym głosie. - I jestem dumna z tego, co osiągnęłam, z tego, jak daleko
zaszłam... - urwała gwałtownie.

Ethan patrzył na nią uważnie, ale jego twarz ukryta była w cieniu i
nie mogła widzieć wyrazu błękitnych oczu.

- Jak daleko doszłaś, Frannie?

Już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zamilkła. Po chwili
odezwała się jednak.

- Bardzo daleko - szepnęła. - Nawet nie wyobrażasz sobie, jak
daleko.

- Więc powiedz mi.

Frances przygryzła wargi, po czym odwróciła się, patrząc na
okrywającą góry ciemność, w której migotały teraz gwiazdy. Chciała mu
to opowiedzieć. Z jakiegoś powodu zależało jej, żeby to wiedział.

Spojrzała teraz na jego twarz skrytą w mroku. W kuchni było prawie
zupełnie ciemno, a żadnemu z nich nie przyszło do głowy, żeby zapalić
światło. Ten mrok jakoś bardziej sprzyjał atmosferze ich rozmowy.

- Nigdy nie znałam mojego ojca. Umarł, zanim skończyłam rok - zaczęła, mówiąc bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem. - Matka wychowywała mnie sama. Mieszkałyśmy w części miasta, której ludzie tacy jak ty nigdy nawet nie widzieli. Miałyśmy mieszkanie wielkości kuchni Harmonów. - Zawahała się, co ma mówić dalej, ale kiedy zsumowała wszystkie te lata, podczas których była świadkiem zmagania matki, przyszło jej do głowy tylko jedno: - Ona zasłużyła sobie na coś lepszego niż takie życie. Przysięgłam sobie kiedyś, że pewnego dnia zamieszkamy w pięknym domu w centrum miasta, w sąsiedztwie tych ludzi, którzy po zapadnięciu ciemności bali się spacerować naszą ulicą.

Ethan siedział nieruchomo, kiedy opowiadała, ale teraz podniósł się, żeby zapalić światło nad barem, tak że mogła zobaczyć wyraz jego twarzy. Zdawało się jej, że odbija się w niej znajomość tego wszystkiego, o czym mówiła, całego trudu i zmagania. W pewnej chwili - nawet nie zauważyła kiedy - jego ręka wyciągnęła się przez bar, żeby ująć jej dłoń.

- Mów dalej - poprosił.

Westchnęła ciężko i wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic więcej do opowiadania. Pracowałam ciężko i chodziłam do szkoły wieczorowej. Robiłam wszystko, żeby dostać się tam, gdzie chciałam. Walczyłam z ludźmi... albo z nimi współpracowałam, w zależności od potrzeby... bylebym mogła dojść tam, gdzie chciałam.

- I jesteś tam teraz?

Frances nachmurzyła się, zaciskając wargi.

- Właśnie ciągle tam podążam.

- Wiec dlaczego nie jesteś szczęśliwa?

Frances usłyszała echo głosu matki, która przez te lata ciągle powtarzała: „Życzę ci, Frannie, żebyś była szczęśliwa”. Co tych ludzi opętało? Przecież stopniowo, dzień po dniu, zbliżała się do szczytu swoich marzeń, żeby mieć wszystko, czego zawsze pragnęła. Oczywiście, że była szczęśliwa. Prawdę mówiąc, brakowało jej tylko jednej rzeczy.

Wsunęła palce w gęstwiny włosów, jakby próbowała wepchnąć tam z powrotem dręczące myśli.

- Nie mogę jednak zrozumieć, o co tu chodzi - przyznała wreszcie z kwaśną miną. - Wszystkie moje plany, wysiłki, cała ta praca, tyle lat zmagania, skierowane były tylko ku jednemu celowi: żeby wydostać stamtąd matkę. Kiedy w końcu mogłam sobie na to pozwolić, matka nie chciała zostawić starych sąsiadów, domu. Ona tam ciągle mieszka!

Ethan uśmiechnął się, jak gdyby dając do zrozumienia, że właśnie Frances sama rozwiązała jakiś trudny problem.

- Może jej nie zależało tak bardzo jak tobie, żeby porzucić wszystko?

Frances nachmurzyła się i zacisnęła usta. Nagle poczuła, jak ogarnia ją panika. Przez jedną przerażającą chwilę była przekonana, że jeśli spojrzy w jego oczy, zobaczy tam odbicie piegowatego stworzenia z mysimi ogonkami, w znoszonej sukience z guzikami, które wcale do niej nie pasują.

- Tam nie było niczego, co byłoby żal zostawić - powiedziała ponuro. Uśmiechnął się smutno.

- Czy jesteś pewna?

Frances potrząsnęła gwałtownie głową, jakby usiłując strząsnąć echo matczynego głosu. Tłumaczyła, że nie może przecież zostawić swoich

sąsiadów, swojego domu, że tu przeżyła całe życie - i że pewnego dnia Frances zrozumie to sama.

Ethan patrzył na nią nieporuszony, jakby w ogóle przestał oddychać.

- Czy wiesz, dlaczego jestem pewien, że podobałaby mi się twoja matka, Frannie? -I zaraz powiedział, nie czekając na jej odpowiedź: - Bo ile razy patrzę w twoje oczy, widzę tam coś z twojej matki. Na przykład wtedy, kiedy zajmujesz się naszym rannym cielakiem. Albo wtedy, kiedy powiedziałaś Milesowi, że masz na imię Frannie. Widzę wtedy w tobie kobietę, która przenika przez tę, którą udajesz. Dla tamtej kobiety tracę zupełnie głowę.

Frances patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Z trudem docierało do niej, że obszedł bar dookoła, wziął jej obie ręce w swoje i przyciągnął ku sobie.

- Frannie - wyszeptał, obejmując jej głowę, wplatając swoje silne palce w pasma jej włosów. - Ona jest w twoich oczach, Frannie. Ta kobieta, dla której tracę głowę.

Mogłoby się wydawać, że świat zatrzymał na chwilę swój bieg, wstrzymała oddech w oczekiwaniu tego, co ma nastąpić, niezdolna do najmniejszego poruszenia. Czuła ciepło płynące z jego ciała, znajdującego się tak blisko niej, że wystarczyłby głęboki oddech, żeby go dotknąć. Była zdumiona własną bezsilnością. Czy to jest ta sama kobieta, która szczyła się zawsze, że potrafi tak znakomicie panować nad sobą? Gdzie podziało się jej doskonale opanowanie, jej zimna krew?

Sekundy oczekiwania zmieniały się w wieczność, a Frances drżała, czując żar, który przeszywa jej ciało niczym wrzący płyn, kipiący w dole brzucha i wznoszący się, rozszerzający wewnątrz piersi aż do bólu. Po raz

pierwszy przyszło jej do głowy, że ciało może być źródłem przyjemności, a nie tylko służyć do pracy, i ta myśl wywołała u niej uśmiech. Rozchyliła wargi i rozpoczął się taniec miłości.

Ethan mruczał coś niezrozumiałego, dotykając wargami jej ust. Potem słowa zniknęły i odtąd liczyła się tylko niema mowa warg. Wszystkie lata, które przeżyła, nie znając tego uczucia, wydały się jej zmarnowane i ten zwyczajny pocałunek wstrząsnął nią, stając się punktem kulminacyjnym napięcia, które odczuwała przed chwilą. To nieznane uczucie, dotąd głęboko uspięne, zakwitło w niej i przepłynęło przez całe ciało. Przesunęło się jak westchnienie między ich ustami, niesłyszalne dla nikogo, ale ogłuszające dla mężczyzny, który je wywołał.

Ethan odsunął się nagle, zaskoczony tym nieoczekiwanym wybuchem uczucia, którego wyraźne i łatwe do odczytania sygnały odebrało jego ciało. Był wstrząśnięty jak młody chłopiec, który po raz pierwszy spotyka się z wielką miłością. Nie słyszał nawet swojego głośnego oddechu, opanowany nagle silną, palącą potrzebą i pragnieniem, żeby osiąść ją całkowicie.

Jego ręce powoli przesunęły się w dół ku jej nabrzmiałym piersiom, lecz Frances natychmiast zeszywniała w odruchu obrony, wtedy pocałował ją znowu i poczuła, że opada z sił. Ogarnęła ją niemoc. Miała wrażenie, że roztapia się i nieubłaganie dąży ku niemu, aby połączyć się w jedno. To było coś więcej niż tylko pożądanie. To było pragnienie, żeby całkowicie oddać się, powierzyć siebie drugiemu człowiekowi. Frances nigdy nie przypuszczała, że jest zdolna do takiego odczuwania. Nie zdawała też sobie sprawy, że właśnie się zakochała. W tej chwili wiedziała

tylko, że w jakiś niewytłumaczalny sposób Ethan do niej należy i - co było jeszcze bardziej zdumiewające - również ona należy do niego.

Ostry dzwonek telefonu oderwał ich złączone wargi i przestraszył oboje.

- Do diabła! - mruknął Ethan, przymykając oczy i opierając czoło o jej czoło. - Muszę się zgłosić. To może być jakiś wypadek. - Szybko odsunął się od niej, jak gdyby tylko gwałtowny ruch mógł oddzielić ich ciała od siebie.

- Przestań, Leo, uspokój się. Jak duży jest ten krwotok? Czy pozwala ci podejść do siebie? Dobrze. Uciskaj to, jeśli możesz. Zaraz tam będę. - Odwiesił szybko słuchawkę i zwrócił się do Frances, patrząc na nią przepaszającym wzrokiem.

- Wybacz mi. Był wypadek na drodze. Jakaś przyczepa bardzo poharatała konia. Muszę tam jechać. - Oczami błagał ją o zrozumienie.

- Jedź - powiedziała po prostu.

- Będziesz tutaj, jak wrócę?

Nawet kiedy stał w drugim kącie pokoju, kiedy byli oddaleni od siebie, ciało Frances pamiętało jeszcze gorąco jego dotknięcia, a rozbudzone zmysły ciągle nie pozwalały jej zapanować nad sobą. Tak się jednak złożyło, że przez przypadek otrzymała szansę odzyskania tego panowania, i nie mogła jej zmarnować. Potrząsnęła głową.

- Chyba nie.

Przez chwilę w jego oczach pojawiło się światło, ale zaraz zgasło jak świeca na wietrze i po chwili westchnął, kiwając głową.

- To musiało przyjść, Frannie. Od tego nie uciekniesz.

Po raz pierwszy Frances wierzyła, że ma rację.

Dochodziła już prawie północ, kiedy wróciła do hotelu. Miasto było ciche, a uliczne lampy malowały kręgi światła na opustoszałych chodnikach.

Frances weszła na palcach do holu i zamknęła cicho drzwi za sobą, czując się trochę jak nastolatka, która wkrada się późno do domu, nie chcąc zbudzić rodziców. Szelest papieru zapał jej dech. Margaret wyciągnęła się wygodnie w fotelu z czasopismem na kolanach, a ciemne, ciekawskie oczka spoglądały na Frances sponad okularów.

- Przepraszam, że przerwałam ci odpoczynek, Margaret.

- Nie przejmuj się. - Margaret odłożyła ilustrowany magazyn na stół.

- Jak ci się udał wieczór?

Frances zawahała się trochę.

- Dobrze.

- Miło to słyszeć. - Margaret wstała i zaczęła gasić lampy. - Najlepiej będzie dla nas obu, jak pójdziemy spać. Jutro od rana będzie upał.

Widziałaś dziś wieczorem krążek wokół księżyca?

Frances potrząsnęła głową.

- Oznacza, że będzie parno i gorąco. Będziesz zadowolona, że namówiłam cię do kupienia szortów. Jutro ci się przydadzą.

Frances kiwnęła głową i zaczęła wchodzić na schody. Weszła na dwa stopnie, po czym odwróciła się i spojrzała za siebie. Margaret stała obok lampy oświetlającej schody, czekając, żeby ją zgasić.

- Czy byłaś kiedyś zakochana, Margaret? - zapytała cicho.

Margaret nie uśmiechnęła się, ale Frances czuła, że miała ochotę to zrobić.

- Oczywiście, że byłam. Zameżna też. Mój mąż zginął w wypadku samochodowym prawie dwadzieścia lat temu. To był właśnie nasz dom. -
Uśmiechnęła się lekko. - Któregoś dnia opowiem ci o nim.

Któregoś dnia. Jakie to magiczne słowa, pełne nie wypowiedzianych obietnic. Frances uśmiechnęła się.

- Cieszę się - odpowiedziała i rzeczywiście to miała na myśli.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez okno hotelowego pokoju płynęły odgłosy poranka, budząc delikatnie Frances. Słyszała świergot ptaków cieszących się słońcem, przeraźliwe pianie koguta gdzieś z oddali, szelest liści poruszanych wiatrem. Dopiero co się rozwidniło, ale już czuć było w dusznym powietrzu zapowiedź upalnego dnia.

Margaret miała rację z tymi szortami, pomyślała z uśmiechem.

Wzięła prysznic, umyła włosy, po czym ściągnęła je w koński ogon. Z pewną niechęcią nałożyła szorty i bluzkę z krótkimi rękawami. Postanowiła, że będzie sobie wyobrazać, iż ubrała się do gry w tenisa. W ten sposób łatwiej pogodzi się z myślą, że ma na sobie ten przykrótki strój.

Kiedy zeszła na śniadanie, w holu czekał Ethan. Siedział zagłębiony w fotelu stojącym w pobliżu schodów, ze zwieszoną głową i łokciami opartymi na kolanach. Miał jeszcze na sobie czarne spodnie i białą koszulę, którą nałożył wczoraj wieczorem, ale na kolanach widniały plamy błota, a koszula była poplamiona i rozdarta na ramieniu.

Frances zatrzymała się na półpiętrze i oparła rękę na balustradzie. Słyszała krzątanie się Margaret w kuchni i odgłosy miasta, ale hol pogrążony był w ciszy.

- Dzień dobry - powiedziała i Ethan powoli uniósł głowę. Twarz miał bladą mimo opalenizny, pasma zbieleńszych od słońca włosów leżały na czole jak poplątane nitki. Na lewym policzku widniał siniak, przez co wydawało się, że jedno oko ma jaśniejszy odcień niż drugie. Jego wzrok przesuwiał się z jej twarzy ku odsłoniętym nogom, potem znów do góry, ku jej oczom.

- Ty to masz nogi! - powiedział, próbując z wysiłkiem uśmiechnąć się. - Wspaniałe nogi!

Frances ściągnęła wargi z irytacją.

- Wyglądasz okropnie. Skąd masz taki siniak? Ethan podniósł rękę i dotknął ostrożnie policzka.

- Ten koń był większy ode mnie.

- Mam nadzieję, że on wygląda lepiej od ciebie. Ethan zachichotał, po czym skinął głową.

- Z nim będzie wszystko dobrze.

- To świetnie. Teraz idź do domu i połóż się spać.

- Nie ma mowy!

Frances popatrzyła na niego przez chwilę, po czym zeszła ze schodów, mając zamiar porządnie go zbesztać. Nagle zatrzymała się, zmieszana. Jeszcze nigdy na nikogo nie krzyczała.

Ethan uśmiechnął się szeroko.

- Musimy porozmawiać, Frannie. Spojrzała na niego, wstrzymując oddech.

- Co?

Patrzył na nią poważnie.

- Ostatniego wieczoru coś zdarzyło się między nami. Frances zarumieniła się i spojrzała na swoje buty.

- To i tak się stanie, wiesz o tym. Zmarszczyła brwi.

- Ja... ja właśnie szłam na śniadanie.

- Śniadanie może poczekać.

- Dobry Boże, co ci się stało?! - Margaret stanęła w drzwiach, patrząc na Ethana. Frances odetchnęła z ulgą, że rozmowa została przerwana, ale w oczach mężczyzny widać było irytację.

- Wezwano go wczoraj do wypadku, Margaret. Był tam całą noc. Właśnie namawiałam go na śniadanie.

- Akurat ciebie posłucha! - Margaret chwyciła ramię Ethana i pociągnęła go, żeby wstał, chmurny i zły. - Najpierw śniadanie, potem do łóżka. Nie ma mowy, żebyś jechał do domu, zanim się nie prześpisz, Ethanie Alexander!

- Nie pójdę na śniadanie, Margaret, i nie potrzebuję snu.

- No jasne, taki jesteś zmęczony, że sam nie wiesz, czego ci potrzeba - powiedziała z irytacją. - Chodź, Frannie, zjemy wszyscy śniadanie w kuchni.

Margaret była dużą, silną kobietą, ale wydała się prawie drobna, kiedy Ethan wziął ją pod ramię i trzymał, patrząc jej w oczy.

- Margaret - powiedział serdecznie, ale stanowczo - śniadanie możemy zjeść później. Frances i ja musimy najpierw porozmawiać.

Margaret głośno westchnęła, aż jej tegie ramiona uniosły się i opadły z wysiłkiem.

- Spójrz na siebie! - łajała go. - Jesteś pokaleczony, zmęczony. Upadłbyś, gdybym cię nie podtrzymywała. Zjedz coś, prześpij się, a potem możesz rozmawiać, ile dusza zapagnie. No, powiedz mu, Frannie.

- Spojrzała przez ramię na Frances, szukając w niej oparcia.

- Ona ma rację, Ethan... - zaczęła Frances, ale wyraz jego twarzy kazał jej natychmiast zamilknąć.

- Teraz będziemy rozmawiać - powiedział łagodnie, ale z całym przekonaniem. Po czym zwrócił się z uśmiechem do Margaret:

- Idź już. Zaraz tam przyjdziemy.

Margaret spojrzała z irytacją i wyszła, zostawiając ich samych.

Frances patrzyła niepewnie na Ethana, przestępując z nogi na nogę. Wytrzymał jej spojrzenie bez uśmiechu, a następnie wskazał dwa krzesła, stojące naprzeciw siebie w odległym kącie holu.

- Usiądźmy.

Frances usiadła sztywno na brzegu swojego krzesła, z rękami złożonymi na kolanach, tak zdenerwowana, jak nigdy dotąd.

- Coś zdarzyło się między nami - powtórzył i od razu stało się jasne, o czym chce z nią rozmawiać. Zaczerwieniła się gwałtownie i spuściła wzrok na swoje ręce, mając nadzieję, że Ethan nie ma zamiaru omawiać na nowo wczorajszych wypadków. Żaden dżentelmen by tego nie zrobił - ale właściwie kto powiedział, że Ethan Alexander jest dżentelmenem?

Kiedy odważyła się spojrzeć w górę, Ethan właśnie pochylił się i patrzył na nią uważnie.

- Czy kochasz swoją pracę, Frannie? - zapytał nagle. Frances osłupiała. Nie spodziewała się takiego pytania.

- To o tym tak pilnie chciałeś ze mną porozmawiać? Czy lubię moją...

- No właśnie. Czy lubisz?

- Oczywiście - odpowiedziała automatycznie, może nawet zbyt szybko. - To dobra praca. Naprawdę znakomita.

- Ale czy ty ją kochasz?

Frances odchyliła się razem z krzesłem i popatrzyła spod zmarszczonych brwi.

- Co to wszystko znaczy? Dlaczego nagle zainteresował cię mój zawód?

- Muszę wiedzieć, co ta praca dla ciebie znaczy.

- Dlaczego?

Pochylił głowę i westchnął.

- Taką mam zachciankę, Frannie. Czy zawsze chciałaś być inspektorem ubezpieczeniowym? Czy marzyłaś o tym już wtedy, kiedy byłaś małą dziewczynką?

- Oczywiście, że nie. Nawet nie wiedziałam, kim jest inspektor ubezpieczeniowy. - Urwała, spoglądając ostrożnie na Ethana. Miała nadzieję, że jego spojrzenie coś jej podpowie, zdradzi sens powtarzanego pytania. Skupiony, zachęcający do mówienia wyraz oczu Ethana niczego jej jednak nie wyjawiał.

- Kiedy dorosłam, zaczęłam szukać zawodu. Ubezpieczenia wydawały się właśnie tym, co mi było potrzebne. Szkolenie było względnie łatwe, pensja od razu korzystna, a możliwości działania prawie nieograniczone.

Oczy Ethana zwięziły się, kiedy rozważał to, co powiedziała.

- A zatem w rzeczywistości nie kochasz samej swojej pracy, tylko to, co ona może ci dać.

- A co w tym złego? - Frances zeszywniała, gotowa do obrony.

- Chyba nic, ale gdy kocha się jedynie końcowy efekt, a nie pracę, która do niego prowadzi, pośrodku pozostaje ogromna pustka.

Zacisnęła wargi, a w jej oczach pojawiły się złe, złote błyski.

- Nie każdy ma szczęście pracować w zawodzie, który rzeczywiście kocha. - Zareagowała ostro.

- Wiem o tym, Frannie - powiedział łagodnie. - Rzecz w tym, że ja próbuję wywieść się, czy naprawdę kochasz swoją pracę. A jeżeli nie, to czy nie miałabyś nic przeciwko porzuceniu jej.

- Porzuceniu? - powtórzyła, nie wierząc własnym uszom. - Dlaczego miałabym chcieć ją porzucić?

- Mogłabyś wtedy przenieść się tutaj. Patrzyła zaskoczona.

- Przede wszystkim - ciągnął pogodnie - musielibyśmy się najpierw zdecydować, gdzie będziemy mieszkać. W przeciwnym razie nasze małżeństwo nie ma szans.

Frances spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami, nawet nie mrugnawszy.

- To nie znaczy, że ja rokuje jakieś specjalne nadzieje na przyszłość.

- Zachichotał, wyraźnie nie zwracając uwagi na jej zdumienie. - Jesteśmy zresztą całkowicie różni. Spójrz choćby na siebie: jesteś uparta, defensywna, materialistka... a poza tym, ubierasz się tak śmiesznie.

Frances pomyślała z wściekłym humorem, że gdyby trochę szerzej otworzyła usta ze zdumienia, mogłaby przez nie swobodnie przejechać ciężarówka.

- Ale bądź sobie taka - ciągnął Ethan. - Od kiedy cię zobaczyłem, tego pierwszego dnia przy cielaku, myślę ciągle o małżeństwie.

Frances patrzyła na niego i tylko bezwiednie potrząsała głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- To najbardziej szalona i bezsensowna rozmowa w moim życiu - zdołała wreszcie wykrztusić. - O czym ty w ogóle mówisz? Małżeństwo?

Ty i ja? Czyś ty zupełnie postradał rozum? Przecież my się prawie wcale nie znamy. Poza tym nie mam ochoty wyjść za ciebie. Nie jestem pewna, czy w ogóle chciałabym wyjść za męża, a jeżeli nawet bym się kiedyś na to zdecydowała, z pewnością nie wybrałabym... - Urwała gwałtownie, speszona tym, co miała na końcu języka.

- Wiejskiego weterynarza z Nowthen? - dokończył za nią, uśmiechając się leniwie, ale oczy patrzyły na nią z powagą. - A wiesz, że Nowthen to świetne miejsce do wychowywania dzieci?

Frances próbowała się zaśmiać, ale zabrzmiało to jak słabe prychnięcie. Odsunęła się gwałtownie, kiedy wyciągnął ręce, żeby ująć jej dłonie.

- Nie lubisz dzieci, Frannie?

- Ja... ja nigdy...

- Początkowo bardzo się martwiłem. - Odwrócił jej ręce i oglądał dłonie, badając je uważnie. - Obawiałem się, że jesteś całkowicie pochłonięta swoją pracą, swoją karierą, że to niemal twoje życiowe powołanie albo coś w tym rodzaju, czego nie mogłabyś porzucić. - Uścisnął jej ręce i spojrzał, uśmiechając się.

- Ale nie będzie tak źle, prawda, Frannie?

- Jesteś szalony - wyszeptała, ledwie poruszając wargami.

Wzruszył ramionami, nie spuszczając z niej oczu. Ciągłe się uśmiechał.

- Możliwe.

- Koń kopnął cię w głowę i oszalałeś. Roześmiał się głośno, ale zaraz spoważniał.

- Uważasz, że jestem szalony, bo przyszło mi do głowy, żeby ciebie poślubić, czy szalony, bo spodziewałem się, że będziesz chciała poślubić mnie?

- Jedno i drugie.

Znowu się uśmiechnął, ale uwolnił jej ręce i cofnął się w głąb fotela. Siniak na policzku wydawał się teraz ciemniejszy, a wokół oczu wyraźnie rysowały się linie zmarszczek z wyczerpania i niewyspania.

Jest zmęczony, pomyślała Frannie. Może nawet majaczy i nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi.

- Musisz trochę odpocząć - zaczęła, ale w drzwiach pojawiła się Margaret, spoglądając groźnie.

- Śniadanie! - warknęła, patrząc na Ethana. - Już! Kiedy Margaret podawała bekon, jajka, kawę i dżem pomarańczowy, Ethan i Frances spoglądali na siebie przez stół. Spojrzenie Ethana ostrzegało, że rozmowa nie jest zakończona, tylko chwilowo przerwana.

- Czy już dojrzałeś do tego, żeby przyznać, że przydałby ci się pokój? - łajęła Margaret, patrząc, jak Ethan walczy ze zmęczeniem.

Podniósł głowę i uśmiechnął się słabo.

- Może to nie jest taki zły pomysł. Ale ona i ja - jego spojrzenie powędrowało ku Frances - mamy jeszcze trochę nie dokończonych spraw, którymi musimy się później zająć.

Frances zerknęła na niego z niepokojem. Margaret patrzyła to na jedno z nich, to na drugie, a oczy jej błyszczały z ciekawości. Przez moment przy stole panowała nieprzyjemna cisza.

- Chodź, Ethan - odezwała się w końcu Margaret.

- Otworzę ci pokój.

Podniósł się ociężale z krzesła, nie spuszczać wzroku z Frances.

- Nie uciekaj, Frannie - powiedział miękko i uśmiechnął się.

Frances siedziała bez ruchu, patrząc na swoje złożone ręce. Kiedy usłyszała kroki w pokoju na górze, obudziła się z odrętwienia, które pochwyciło ją w kleszcze jak krótki sen, i rozejrzała się bezmyślnie wokół. Wstała wolno i sztywnym krokiem poszła w kierunku drzwi, a następnie opuściła hotel.

Upał był już uciążliwy, powietrze ciężkie, trudne do oddychania, ale Frances szła wytrwale naprzód, jakby ruch przynosił ulgę jej zagmatwanym myślom.

Nie uciekaj. - Przypomniała sobie słowa Ethana. Zawsze to mówił, pomyślała, może dlatego, że zawsze rzeczywiście uciekam. Ale tym razem nie będę uciekać, nie mam nawet zamiaru. W końcu czego się tu obawiać? Od czego uciekać? Od nie przemyślanej do końca propozycji mężczyzny, który proponował jej małżeństwo, słaniając się ze zmęczenia? Może nawet nie pamięta już połowy tego, co powiedział. Co z tego, że uległa zręcznej próbie uwiedzenia? Jest atrakcyjnym mężczyzną, co w tym dziwnego, cóż takiego strasznego, że poddała się jego urokowi? Przecież to się zdarza codziennie milionom kobiet na całym świecie. To, że jej samej nigdy się to jeszcze nie zdarzyło, niekoniecznie musi oznaczać, że jest odporna...

Byłaś zawsze odporna, przypomniał jej cichy głos, ale zignorowała go.

Poza tym, to był przecież tylko zwyczajny, szybko przemijający pociąg fizyczny - czysto biologiczna funkcja, która nie ma wpływu na zmianę sposobu bycia, myślenia, na zmianę wyznawanych wartości.

Chyba że one nie były dla ciebie prawdziwymi wartościami, upierał się jej wewnętrzny głos.

- Cześć, Frannie!

Przestraszona, odwróciła się w kierunku, skąd dobiegał głos. Jakaś twarz, którą niejasno sobie przypomiwała, uśmiechała się do niej z daleka. Podniosła rękę z wahaniem i pomachała do niej. Kobieta w odpowiedzi pomachała energicznie i wesoło, i wtedy Frances rozpoznała w niej nieznajomą, którą spotkały, kiedy szły z Margaret kupować dla Frances ubrania.

- Jak się czuje Ethan? - zawołała kobieta.

Frances zupełnie nie mogła przypomnieć sobie jej imienia. Nie mogła też zrozumieć, dlaczego ją właśnie pyta o zdrowie Ethana.

- Dobrze! - odkrzyknęła trochę niepewnym głosem.

- To powiedz mu, że czekamy na niego wieczorem. Obiecał wpaść znowu, żeby zobaczyć ogiera Leona.

Twarz Frances rozjaśniła się, bo nagle wszystko zrozumiała. To mąż tej kobiety wzywał wczoraj telefonicznie Ethana do swego rannego konia.

- Przykro mi, że zmarnowaliśmy ci wczorajszy wieczór - zawołała znowu kobieta, a uśmiech momentalnie zamarł na twarzy Frances. Co też Ethan mógł opowiedzieć o ich „wieczorze”?

Ruszyła dalej na przechadzkę główną ulicą, z głową pęczniejącą od nadmiaru myśli, z oczami utkwionymi w chodnik umykający pod czubkami tenisówek. Złapała się na tym, że odruchowo omija szczeliny między płytkami, zupełnie jak robiła to wtedy, kiedy była jeszcze dzieckiem.

Właśnie przechodziła koło jakiegoś sklepu, ktoś zastukał w szybę wystawową i pomachał jej, kiedy spojrzała w tamtym kierunku. Kto to był? Nie była pewna, czy widziała przedtem tę twarz. Może to ktoś, kogo poznała wieczorem w parku, kiedy była tam z Ethanem? Odpowiedziała uśmiechem na pozdrowienie i powędrowała dalej.

Doszła w końcu do wniosku, że jest to jednak miłe miasteczko. Zwolniła kroku i rozejrzała się wokół. Stare drzewa ocieniały główną ulicę, wyciągając ramiona z koronkami liści nad ławki stojące przed sklepem. Na pewno sąsiedzi siadają sobie na tych ławkach; czas będzie upływał, a oni będą wymieniać między sobą wiadomości, latami pielęgnować przyjaźń.

Przyszło jej do głowy, że może przyjemnie byłoby mieszkać w takim miasteczku. Zawsze miałyby wokoło siebie przyjaciół, tak bliskich, jakby byli rodziną. Kiedy ta myśl powstała w jej głowie, zatrzymała się jak wryta. O czym ona myśli? Czy rzeczywiście wzięła sobie do serca tę bezsensowną rozmowę o małżeństwie?

- Wcześniej dziś wstałaś, Frannie.

Frances drgnęła i odwróciła się na dźwięk głosu Elaine.

- Mój Boże, dziecko, podskoczyłaś jak królik! Nie chciałam cię przestraszyć.

- Rzeczywiście, trochę się wystraszyłam. - Uśmiechnęła się blado Frances. - A jak się czuje Franklin?

- Lepiej. Ale jest zdenerwowany i przygnębiony, bo nie może posługiwać się rękami.

- A cielak?

- Co ty ciągle z tym cielakiem?! - Elaine roześmiała się, potrząsając głową. - Szybko przywiązaliście się do siebie, prawda?

Frances uśmiechnęła się z wahaniem. Jak to wytłumaczyć tej kobiecie? Trudno powiedzieć, że przywiązała się do zwierzęcia; po prostu myślała czasami o nim. Ludzie nie mogą przywiązywać się do zwierząt; przynajmniej normalni ludzie...

- ...więc myślę, że może Ethan zechciałby wpaść i zobaczyć ją dzisiaj - mówiła dalej Elaine.

Frances szybko powróciła do rzeczywistości.

- Po co? - zapytała pośpiesznie. - Czy stało się z nią coś złego?

Elaine zmarszczyła brwi z dezaprobatą i podniosła głowę, zaskoczona reakcją Frances. Ale powiedziała łagodnie:

- Właśnie mówiłam, kochanie. Beth zauważyła, że trochę podskoczyła jej temperatura. Nie ma chyba jeszcze powodu do paniki, ale przy poparzeniach nigdy dość ostrożności, sama zresztą wiesz. A przy okazji, jak udał się wam wczoraj obiad? - Uśmiechała się znowu, a ciemne oczy błysnęły figlarnie. Frances westchnęła z irytacją.

- Czy w tym miasteczku już każdy wie, że pojechałam wczoraj wieczorem do Ethana?

Elaine zachichotała.

- Jeszcze nie. Ale na pewno się dowie. - Na policzkach pojawiły się jej dołeczki od uśmiechu.

- Pójdę już lepiej do domu. Wszystko się dzisiaj opóźniło przez cielaka i Franklinowi trzeba będzie pewnie pomóc. Przyjdź nas odwiedzić, Frannie.

- Przyjdę - obiecała - jak tylko będę miała gotowe formularze do podpisania.

- Nie musisz mieć pretekstu, żeby odwiedzać przyjaciół, wiesz przecież. - Elaine uściśnęła rękę Frances. - Nie zapomnij powiedzieć Ethanowi o cielaku - zawołała jeszcze przez ramię i odeszła.

Frances wędrowała dalej, aż do końca głównej ulicy ze sklepami. W ciągu następnej godziny tego spaceru wpadła na jeszcze kilka osób, które pozdrowiły ją po imieniu, chociaż niektórych nie mogła sobie w ogóle przypomnieć. Ta jawna sympatia mogłaby wydawać się trochę kłopotliwa - a na pewno byłaby taka na ruchliwych ulicach centrum Bostonu. Tu jednak jakoś wcale nie sprawiała jej przykrości. Frances przyłapała się na tym, że na każde pozdrowienie nieznanym osobie odpowiada z uśmiechem, który staje się coraz bardziej naturalny. Przyszło jej nawet do głowy, że postronny obserwator uznałby, że jest jedną z tutejszych kobiet. Bóg świadkiem, że ubrała się według ich gustu!

Ta myśl spowodowała, że zatrzymała się i spojrzała na swoje nogi, które - nie przyzwyczajone do słońca - zaróżowiły się. Postanowiła wrócić do hotelu.

Resztę przedpołudnia spędziła przy biurku, pracując nad odszkodowaniem dla Harmonów. W tym celu bezskutecznie próbowała skontaktować się telefonicznie ze strażakami z ochotniczej straży w Nowthen. Czterech mężczyzn nie zastała, ponieważ, jak ją poinformowano, „pojechali na pole uprawiać kukurydzę”, piąty zaś był akurat z wizytą u krewnych na Florydzie. Pióro spoczywało na pustej kartce papieru, która powinna zawierać sprawozdanie brygady do spraw

podpaleń. Co miała napisać? Że przyczyną braku sprawozdania jest uprawa kukurydzy?

Siedziała zakłopotana, nawijając na palec pasmo włosów. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedziała odruchowo, nie patrząc na wchodzącego.

Najpierw poczuła przeciąg, kiedy drzwi się otworzyły, później dotarł do niej głos: - Cześć, Frannie.

Odwróciła wolno głowę, zupełnie nieświadoma tego, że rysy jej złagodniały, a oczy błyszczały jak szlifowany bursztyn.

- Jak się masz, Ethan - odrzekła, stwierdzając, że wymawianie jego imienia sprawia jej przyjemność. Czy wymówiła je już kiedykolwiek? Nie pamiętała.

Ethan stał ciągle w drzwiach, z rękami w kieszeniach spodni. Jego zwichrzone od snu włosy połyskiwały złotymi nitkami w świetle promieni słońca.

- Jadę do domu wykapać się i przebrać - powiedział. - Chciałbym, żebyś pojechała ze mną.

Po tych słowach zapadła głęboka, absolutna cisza. Wyraz jego oczu mówił jej, że wszelkie udawanie nie ma sensu. Mimo to szepnęła:

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- To nieprawda. Wiesz o tym najlepiej. Frances poczuła, że rezygnuje z czegoś, co dawniej uważała za ważne. Nie mogła sobie przypomnieć, co to było ani dlaczego tak jej zależało, żeby troszczyć się o to.

- Nie rozumiesz - powiedziała, a głos jej brzmiał dziwnie obco. - Nie nadaję się do przypadkowego romansu.

- Nie ma nic przypadkowego między nami, Frannie. Myślałem, że po naszej porannej rozmowie wszystko jest dla ciebie zupełnie jasne.

Frances przygryzła wargę.

- Nie rozumiem, co się dzieje - szepnęła.

- Rozumiesz doskonale. - Ethan cofnął się do drzwi i zamknął je za sobą. Przeszedł przez pokój, nie spuszczać wzroku z Frances, która siedziała bez ruchu na fotelu. Kiedy zatrzymał się przy niej, czuła, że musi natychmiast zerwać się i uciec. Powinna była to zrobić już za pierwszym razem, gdy zobaczyła tego mężczyznę, ponieważ on właśnie stanowił największe zagrożenie dla życia, które sobie z takim trudem wypracowała. Jeżeli teraz pozwoli sobie na to, żeby zatonać w otchłani jego błękitnych oczu, Frances Hudson w strojach z modelowej kolekcji, z luksusowym domem w mieście, kosztownym samochodem, u szczytu godnej pozazdrosczenia kariery - ta Frances Hudson po prostu przestanie istnieć. Zniknie pod jego dotknięciem, jak gdyby nigdy jej nie było, a na jej miejscu będzie...

- Frannie - wyszeptał, opierając ręce na jej ramionach. - Moja śliczna Frannie.

Jeszcze przed chwilą siedziała sztywno na krześle, a już potrafił skłonić ją jednym tylko gestem do wstania. Jakie to dziwne, to tak, jakby jej ciało chciało być razem z nim.

Ujął jej głowę w dłonie, a oczy wędrowały po twarzy Frances, jakby obejmując ją w posiadanie.

Usta szły za spojrzeniami, muskając czoło, powieki, policzki, na koniec trafiając na miękkie, pełne wargi. Smakował je miękko, delikatnie,

odsuwał się, zbliżał znowu, dopóki Frances nie poczuła, że brakuje jej powietrza.

- Frannie - westchnął cicho.

Frances uwolniła ręce uwieszone między jego dłońmi i odepchnęła go, protestując bez tchu:

- Za wcześnie, za szybko... to wszystko dzieje się za szybko.

- A jak długo to ma trwać, Frannie? Jak długo mam patrzeć na to, czego chcesz, czego zawsze chciałaś, skoro mogę po to sięgnąć i sprawić, żebyś dostała?

Nie dał jej czasu na odpowiedź, nie mogła nawet pomyśleć o odpowiedzi, bo już jego usta domagały się jej warg, napierając gwałtownie. Wyszarpnął bluzkę z szortów i wsunął pod nią rękę, przesuając po nagiej skórze pleców. Szorstkie palce gładziły jej talię. Ręce Frances, bez udziału jej woli, odszukały kontury jego mięśni i powędrowały wyżej, głaszcząc tył jego głowy. Ten ruch podniósł nieco jej nabrzmiałe piersi, które przylgnęły do jego torsu. Poczuł ich niezwykle napięcie i wypuścił gwałtownie powietrze.

- Miałaś jechać do domu - przypomniała, walcząc z brakiem tchu.

- Jestem w domu - powiedział ochryple, unosząc ją z podłogi i przyciskając do piersi jednym płynnym ruchem. - Oboje jesteśmy w domu - wyszeptał, po czym przeniósł ją na łóżko.

Frances leżała na wzorzystej kołdrze, patrząc w opalizujący błękit jego oczu. Widziała, jak jej palce przesuwały się po zjaśniałych od słońca pasmach włosów Ethana i zastanawiała się, w jaki sposób te palce posiadały tę wiedzę, skąd wiedziały o tych pieszczotach, skoro nigdy przedtem ich nie doznały. W jej życiu nie było miejsca na mężczyzn i romanse - a tym

bardziej na miłość i to, co młode kobiety zwykle biorą za miłość. Tymczasem jej ciało potrafiło reagować na obecność tego mężczyzny ze swobodą, którą zwykle rodzi doświadczenie, a tego przecież nigdy nie miała.

Zdjął koszulę, a jej ręce powędrowały po kształtach muskularnych ramion i piersi, tak wprawnie, jak gdyby robiły to już setki razy. Kiedy dłonie Ethana wsunęły się pod przód bluzki, odkrywając płonące wzgórki, drżenie, które wstrząsnęło jej ciałem, było dziwnie znajome. Miała wrażenie, jak gdyby ciało znało już wszystkie tajemnice tego, co dotąd nieświadomie skrywała w swoim umyśle - całą wiedzę o pieszczotach i miłości.

A kiedy jego ręce i usta kontynuowały miłosny rytuał, wygięła plecy w łuk, wstrzymała oddech i uświadomiła sobie, że w rzeczywistości nie wiedziała absolutnie nic.

Promienie słońca wpadające przez okno malowały złote cętki na pikowanej kołdrze, a następnie przesunęły się, malując jasne kręgi na ścianie nad zegarem. Z gniazdka uwitego w ramionach Ethana Frances obserwowała wędrówkę słonecznego światła bez świadomości, że oznacza ona upływ czasu. Czas należał do starego świata, a ten świat egzystował na zewnątrz pokoju; nie chciała, by ich niepokoił.

Kiedy zadzwonił telefon, Frances ukryła twarz na piersi Ethana i zamknęła oczy. Jego mięśnie napięły się, kiedy sięgał po słuchawkę, a potem poczuła pod sobą drżenie jego głosu, dudniącego w klatce piersiowej.

- Muszę iść, Frannie - mruknął miękko. Odłożył słuchawkę, jednym ramieniem ciągle mocno ją przytrzymując. - To była Elaine.

Frances spojrzała na niego przerażona, czekając z napięciem na dalsze słowa.

- Przecież rozmawiałam z nią niedawno. Mówiła wprawdzie, że cielak ma temperaturę, ale nie sądziła, żeby to było coś poważnego. Prosiła, żeby powtórzyć ci, że masz przyjechać, jak się obudzisz.

- Odpreź się. - Uśmiechnął się, obserwując jej reakcję. - Nie chodzi o twojego cielaka. Po prostu jedna z krów cieli się i potrzebuje trochę pomocy.

Jego bardziej błękitne niż zwykle oczy patrzyły na nią w napięciu, jakby oczekując reakcji bez wypowiedania słów.

- Pojadę z tobą - postanowiła. Czowała, że jest teraz zarazem małą Frannie z mysimi ogonkami, która lubiła chodzić za kimś jak cień, i jednocześnie, w takim samym stopniu, dorosłą kobietą, której przeznaczeniem jest chodzić wszędzie za wybranym mężczyzną, dokądkolwiek będzie ją prowadził. Dziwne, ale te dwie osobowości Frances nagle wydały się jej nierozłączne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Frances i Ethan spieszyli na farmę Harmonów. Gorący, duszny wiatr dmuchał przez otwarte okna ciężarówki. Czuła na twarzy jego silny powiew, jakby ucisk dłoni olbrzyma. Wilgotna bluzka lepiała się nieprzyjemnie do ciała. Kiedy kropelka potu spłynęła zagłębieniem między piersiami, szarpnęła bluzkę, żeby oderwać wilgotny materiał od ciała.

Ethan popatrzył na nią.

- Może powinienem włączyć klimatyzację?

Potrząsnęła przecząco głową. Trzeba byłoby wtedy zamknąć okna, a wówczas kalejdoskop barwnych plam nie byłby tak olśniewający, ostre zapachy płynące z ziemi pozostałyby na zewnątrz. Ponadto czysto fizyczna niewygodność, jakiej teraz doznawała, przypominała jej, że jest żywą, czującą istotą. Jeszcze kilka dni temu podobne myśli nie przyszyłyby jej w ogóle do głowy. To, co teraz pragnęła przeżywać i wchłaniać w siebie, traktowała zawsze jako przykrą stronę podróżowania, przed którą starała się zabezpieczyć.

Kiedy samochód wjechał na podwórko Harmonów, nagle straciła całą odwagę i pogodny nastrój. Wyjeżdżając z hotelu nawet nie zastanawiała się, gdzie i po co Ethan jedzie, i co tam się może zdarzyć. Chciała po prostu być blisko niego. Ale teraz, kiedy okrążyli dom i zatrzymali się przed oborą, pełne bólu ryczenie rodzącej krowy natychmiast sprowadziło ją na ziemię.

Kiedy Ethan wyłączył silnik, nie ruszyła się z miejsca.

- Czy widziałas kiedyś poród, Frannie? - zapytał, a ona zdumiała się niedbałym tonem jego głosu. Gwałtownie potrząsnęła głową, a jej koński ogon zachwiał się w lewo i w prawo. Podskoczyła nerwowo, kiedy Ethan dotknął jej ramienia. Krowa ryczała teraz głośniejszym głosem i Frances skrzywiła się, słysząc ten ryk.

- Nie musisz tam wchodzić, jeśli nie chcesz - powiedział Ethan łagodnie. - Ale to tylko brzmi tak groźnie. Elaine twierdzi, że to po prostu nieprawidłowe ułożenie płodu... kiedy odwrócę cielaka, urodzi się łatwo.

Frances wstrząsnęła się.

- Może lepiej poczekam tutaj...

Nagle szczupła figurka Beth wyłoniła się z cieleńnika i pospieszyła w stronę ciężarówki.

- Cześć, jak się macie! - zawołała.

- No i jak tam? - zapytał Ethan.

- To jest nieprawidłowo ułożony płód, dokładnie tak, jak podejrzewała Elaine; ale ja martwię się bardziej o poparzonego cielaka.

Frances zeszywniała i pochyliła się na siedzeniu.

- Co się z nim dzieje? - zapytała przestraszona. Beth spochmurniała.

- Wczoraj wieczorem wyglądała zupełnie dobrze, ale dziś nic nie je, a temperatura gwałtownie spada. - Odwróciła się do Ethana i przekazała mu jakieś informacje, których Frances nie zrozumiała.

- Jest apatyczna? - zapytał szybko, a Beth skinęła głową z takim wyrazem twarzy, że Frances poczuła skurcz żołądka.

- O czym to świadczy, że jest apatyczna? - zapytała szeptem, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

Ale nasilające się ryczenie, dobiegające z cieletnika, sprawiło, że Ethan czym prędzej wyskoczył z ciężarówki.

- Muszę tam iść, Frannie - zawołał przez ramię i pobiegł razem z Beth. Frances siedziała przez chwilę w samochodzie, zupełnie bez ruchu, krzywiąc się na każdy pełen bólu ryk rodzącej krowy. Po chwili hałas w cieletniku ucichł, a jedynym odgłosem, jaki teraz dobiegał do niej, był wiatr szeleszczący w młodej kukurydzy i graniu pasikonika na polu za domem. Z małego białego budynku, gdzie leżał poparzony cielak, nie dochodził żaden dźwięk. Pomału, lękliwie, Frances wysiadła z samochodu, przeszła przez podwórko i weszła do ciemnego pomieszczenia.

- Hej, mała - szepnęła, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, a następnie przeszła do zagrody. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że cielę leży wygodnie na brzuchu, z przednimi nogami podwiniętymi pod siebie. Koścista głowa odwróciła się powoli, gdy Frances weszła do zagrody, a duże, wilgotne, brązowe oczy popatrzyły na nią. Frances zaśmiała się nerwowo, a cielak beknął, jakby na powitanie.

- No co, dziecko, nic złego się z tobą nie dzieje, prawda? - odezwała się, przykucając na piętach i wyciągając rękę do szyi zwierzęcia. - Nie jesteś apatyczna, prawda? Po prostu chce ci się spać, a wszystko jest dobrze. Jesteś przecież w końcu dzieckiem, a dzieciom często chce się spać.

Powieki cielaka opadły ociężale, a Frances nie przestawała pieścić jego szyi.

- Już dobrze, śpij, dziecko - mruzczała, przesuwając rękę w dół po szerokim czole, między łzawymi oczami i dalej do szerokiego czarnego

nosa. Cielak pochrząkiwał cicho jak prosię, po czym przejechał językiem po jej dłoni i opuścił głowę na przednie nogi.

- Moja dziewczynka - zanuciła Frances, usadawiając się na macie przy boku zwierzęcia, pieszcząc je, aż zamknęło oczy. - Teraz śpij. Odpoczywaj.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, głaszcząc drobne ciało. Nieobecna duchem, nuciła jakąś kołysankę, którą pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie pustki i samotności, którego nigdy jeszcze nie doznała. Ręka zastygła na szyi zwierzęcia. Frances patrzyła na nie szeroko otwartymi oczami, wstrzymując oddech.

Cisza. Całkowita, przerażająca cisza.

Nie miała odwagi nawet mrugnąć okiem, obawiając się, że w tym mgnieniu mogłaby przegapić to, co chciała widzieć.

Oddychaj - szeptała w myśli, ze wzrokiem przykutym do grzbietu leżącego bez ruchu zwierzęcia. Oddychaj - powtórzyła rozkazująco w myśli, i raz jeszcze to samo. W końcu wydobyła z siebie głos i powiedziała to, ale drobne ciało pozostało nieruchome.

Patrzyła nachmurzona na to brzydkie, nieszczęsne stworzenie, na którym pełno było zaleczonych poparzeń i zmierzwionej sierści. Myślała, że oddałaby część swoich skarbów, coś, co ma dla niej dużą wartość, żeby zobaczyć, jak wilgotne oczy znowu się otwierają - nie dlatego, że to zwierzę stanowiło istotną część jej życia, ale dlatego, że w świecie zabrakło jednego uderzenia serca, że będzie teraz bardziej pusty.

Ethan znalazł ją siedzącą przy cielaku. Białe szorty pobrudziły się o maty w zagrodzie, ale Frances zdawała się tego nie dostrzegać. Rękę

opierała lekko na martwej szyi. Ethan stanął w drzwiach. Długo patrzył na cielaka, a potem przeniósł na nią wzrok pełen bólu.

- Frannie? - szepnął, a ona popatrzyła na niego nie widzącymi oczami. Przeszedł przez zagrodę, chcąc wziąć ją w ramiona, przynieść ulgę. Wtedy odezwała się:

- Ona nie żyje!

Ethan zatrzymał się pod wpływem jej oskarżycielskiego tonu. Pierś uniosła mu się w głębokim oddechu.

- Zrobiliśmy dla niej wszystko, co było w naszej mocy, Frannie.

- Widocznie za mało - mruknęła z goryczą, odwracając się, żeby jeszcze raz spojrzeć na cielę. Przygryzła mocno dolną wargę.

Ethan milczał przez chwilę, po czym powiedział ostrożnie:

- Życie ma swój koniec, Frannie. Niezależnie od tego, jak bardzo chcemy, żeby trwało, jak długo próbujemy je podtrzymywać, kiedy nadchodzi czas, życie się kończy. Nie mamy na to wpływu.

Wargi Frances zadrżały, kiedy usiłowała powstrzymać łzy.

- Ale to niesprawiedliwe! Ona była jeszcze dzieckiem!

Ethan westchnął i zaczął zbliżać się do niej ostrożnie, jakby oczekiwał, że może rzucić się do ucieczki. Podniosła głowę, kiedy oparł delikatnie ręce na jej ramionach.

- Chodź, Frannie - powiedział miękko, pomagając jej wstać.

Pozwoliła mu wyprowadzić się z budynku na spalone słońcem podwórko. Przez szerokie wrota weszli do cieletnika. Ledwie dotarło do niej, że Elaine i Franklin stoją oparci o poręcz dużej zagrody, a Beth brodzi po kolana w zakrwawionej słomie. Wszyscy rozpromienieni

patrzyli na kłębek płowego koloru. Beth podniosła głowę i spojrzała uśmiechnięta na Frances.

- Czyż ona nie jest piękna?

Frances spojrzała chłodno na urodzonego przed chwilą cielaka. Wcale nie był piękny. Był mokry i nieporadny, jego głowa chwiała się na słabej szyi, kiedy matka lizała go energicznie.

- Poparzony cielak nie żyje - powiedział spokojnie Ethan.

- Och, Frannie, jak mi przykro! - rzekła ze współczuciem Elaine. -
Wiem, że byłaś bardzo do niej przywiązana.

Frances spojrzała na nią.

- Nie byłam do niej przywiązana - zaprotestowała szybko. - Po prostu nigdy przedtem nie widziałam nikogo umierającego... - Głos jej się załamał, kiedy spojrzała na nowego cielaka.

Zapanowała długa chwila ciszy. Franklin oparł się ciężko o poręcz, a jego zabandażowane ręce zwisały bezwładnie, kiedy tak patrzył na cielę.

- To dziwne, jak wszystko się wyrównuje, prawda? - powiedział sam do siebie. - Jedno umiera, drugie się rodzi.

Frances popatrzyła na niego przerażona. Jak ci ludzie mogą tak łatwo pogodzić się ze śmiercią? Nie są ani trochę tak zdruzgotani jak ona.

Jej oczy śledziły pobrużdżoną twarz Franklina, potem przeniosła wzrok na twarz Elaine - miłe, matczyne oblicze, następnie na Beth, a na koniec na Ethana. Na każdej widziała smutek, ale pod nim malowała się pogodna rezygnacja.

I czego się nauczyłaś, mieszkając tutaj? - zapytywała samą siebie. Tutaj przyjmuje się i akceptuje rzeczy takimi, jakie są, bez słowa protestu, bez próby wyrwania się z tego zaklętego kręgu przeznaczenia. Gdyby ona

podchodziła do życia z taką filozofią, do tej pory mieszkałaby w dwupiętrowym czynszowym domu, bez możliwości wykazania się czymkolwiek przez lata, bez żadnej nadziei na lepszą przyszłość.

- Nie mogę tu zostać dłużej - szepnęła nagle, wpatrując się w oczy Ethana z wyrazem uwięzionego zwierzęcia. - Przepraszam.

- W porządku, Frannie, rozumiem.

Skrzywiła usta w słabym, bezradnym uśmiechu. On nic nie rozumiał - absolutnie nic. Nikt z nich nie rozumiał.

Wcisnął jej do ręki kluczyki do samochodu i powiedział coś o swoim przyjeździe z Beth do miasta. Frances ledwie go słyszała i nie rozumiała, co do niej mówi. Ethan i Elaine stali, patrząc, jak idzie przez podwórko i wspina się do ciężarówki.

- Ona to ciężko przeżyła, Ethan - mruknęła zaniepokojona Elaine.

- Wiem. Obawiałem się, że tak będzie.

- Może powinieneś z nią pojechać?

Ethan patrzył zmrużonymi oczami, jak samochód znika w chmurze pyłu.

- Ona musi mieć trochę czasu, Elaine. Musi mieć czas, żeby na własną rękę oswoić się ze śmiercią. W przeciwnym razie nigdy nie zrozumie, co jest w życiu naprawdę ważne.

Elaine wsunęła mu rękę pod ramię i ścisnęła czule.

- Jesteś w niej bardzo zakochany, prawda?

Ethan przymknął oczy.

- Och, tak - przyznał z głębokim westchnieniem.

- Nie pozwól jej odejść.

Ethan patrzył na miejsce na podjeździe, gdzie przed chwilą jeszcze stał samochód. Błękitne oczy błyszczały silnym postanowieniem.

- Nie pozwolę - szepnął. - Nie pozwolę, jeżeli tylko zdołam.

Frances zaparkowała ciężarówkę Ethana przy krawężniku i weszła na ganek hotelu. Poruszała się jak staruszka: szła ze spuszczonej oczyma, ramiona zwisały w geście zupełnej rezygnacji.

Margaret zobaczyła ją przez szybę w drzwiach frontowych, wywróciła oczy w udanym przerażeniu i zaczęła dobrodusznie łąać:

- Widzę, że zniszczyłaś następne ubranie.

Frances zatrzymała się na stopniach ganku i spojrzała na białą bluzkę i szorty, pełne plam i sierści cielaka. Skrzywiła się niechętnie i zerknęła na Margaret. Wiatr uwolnił z końskiego ogona pasma włosów, które kładły się na twarzy jak smugi płynnego karmelu. Na czole, w miejscu, gdzie odgarniała włosy, widniały smugi kurzu. W oczach miała taki wyraz, że Margaret zamilkła. Żółte, pełne życia iskry zniknęły, spojrzenie wydawało się teraz bezmyślne i puste.

- Co się stało? - zapytała Margaret, wzmagając od razu czujność. - Gdzie jest Ethan?

- Nic się nie stało - odpowiedziała Frances zmęczonym głosem. - Ethan został jeszcze u Harmonów, zajmuje się nowym cielakiem. Przyjedzie tu później po ciężarówkę.

Margaret kiwnęła głową w milczeniu.

- Czy jesteś pewna, że wszystko w porządku? Frances zmusiła się do uśmiechu.

- Nic mi nie jest, Margaret. Po prostu jestem bardzo zmęczona.

Przeszła sztywno przez przedsionek, przez drzwi frontowe i weszła na schody prowadzące do jej pokoju. Przystanąła w progu, spoglądając na pogniecioną kołdrę i zamknęła oczy, przywołując wspomnienia dzisiejszego południa. Wydawało się, że upłynęło milion lat od czasu, kiedy tu była razem z Ethanem, w różowej poświacie ich miłości. Wtedy jeszcze myślała, że nie mogłaby istnieć poza kręgiem jego ramion.

Pragnęła Ethana całą duszą i ciałem, wierząc idiotycznie, że mogłaby żyć w jego świecie, że może nawet jego świat jest lepszy niż jej własny. Ale szybko okazało się, że nie był lepszy. Jego świat pełen był krwi i sińców, chorób i śmierci. Pełen był również spokojnych, pogodnych ludzi, którzy bez protestu poddają się wszystkim przeciwnościom i nieszczęściom, pozwalając kaprysowi losu przetoczyć się wprost przez nich. Ona nie należy do tego świata. Nie mogłaby do niego należeć.

To prawda, pomyślała cynicznie, co mówią o miłości - że jest ślepa. Prawda też, że namiętność pozbawia człowieka rozumu. Wszystko to prawda.

Dzwonek telefonu, stojącego na szafce nocnej, poderwał ją na nogi.

- Frances, to ty?

Zaczerpnęła powietrza i wyprostowała się, jak gdyby prezes Northeastern Casualty mógł rzeczywiście zobaczyć ją, stojącą przy telefonie.

- Tak, proszę pana, tu Frances.

- Masz trochę zmieniony głos. Czy wszystko w porządku?

- Tak, proszę pana. Czy dostał pan moje wstępne sprawozdanie?

- Dostałem, Frances. Właśnie dlatego dzwonię. Wydaje się oczywiste, że Harmonowie mają zupełnie uzasadnione prawo do

odszkodowania, nie ma więc powodu, żeby przeprowadzać śledztwo. Dlaczego nie wracasz do miasta? Założę się, że masz już dosyć wiejskiego gospodarstwa na całe życie.

Wydawało się, że szef czeka na odpowiedź, więc Frances powiedziała ogólnie:

- To rzeczywiście nie jest Boston.

Zaśmiał się serdecznie.

- Jestem pewien, że nie jest! A zatem skończ wszystko, co pozaczynałaś, i wracaj do domu. Mam dla ciebie coś, co sprawi ci prawdziwą przyjemność. Nasze biuro w Paryżu prosi o pomoc przy tamtejszym dochodzeniu. Musiałem im obiecać, że wyślę swego najlepszego pracownika. Tak się składa, że tym najlepszym człowiekiem w naszej spółce jest kobieta.

- Po tych słowach zapadła cisza. - Ty, Frances, jesteś moim najlepszym inspektorem i czas, żebyś się o tym dowiedziała.

- Och! - wykrzyknęła Frances zaskoczona.

- To nie są puste słowa, Frances. W następnym czeku dostaniesz niezłą podwyżkę.

Frances przełknęła ślinę.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić. Pakuj się i przyjeżdżaj. Nie wiem, czy pamiętasz, że Balet Kirowa za trzy dni rozpoczyna występy, a wiem, że nie chciałabyś zmarnować takiej okazji.

- Rzeczywiście - powiedziała Frances. - Na pewno nie.

Odłożywszy słuchawkę, zapadła się w łóżko i siedziała tam, bezmyślnie wygładzając kwadraty kołdry i patrząc gdzieś w przestrzeń.

Dopięła swego. Nareszcie otrzymała to, czego zawsze pragnęła. Główny inspektor. Podwyżka pensji, wieczory spędzane na występach baletu, wyjazd do Europy - to było jej życie, na które przez tyle lat ciężko pracowała. To było to, do czego należała.

Słaby uśmiech pojawił się na jej wargach, gdy tak siedziała i patrzyła przed siebie, wyobrażając już sobie cuda, które czekają na nią w Bostonie. Ręka ciągle jeszcze odruchowo gładziła kołdrę. Wygładzała wszystkie zagniecenia, pozostałe po miłości, którą właśnie zostawiała za sobą.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Frances pochyliła się nad walizką leżącą na łóżku, wkładając do niej ostatnią jedwabną bluzkę. Dziś ubrała się w granatowy kostium z dyskretną białą lamówką. Płomiennie karmelowe włosy uwięziła znowu w upiętym koku. Kolczyki z litego złota połyskiwały jej w uszach.

Wzdrygnęła się na głośne pukanie do drzwi i odwróciła głowę.

- Ethan! - szepnęła, patrząc na postać, która zdawała się wypełniać całe wejście. Frances była przygotowana na to ostatnie spotkanie. Wiedząc, jakie wrażenie robiła zawsze na niej jego obecność, uzbroiła swoją wolę w chłodną nieustępliwość. Żadne przygotowania nie mogły jednak powstrzymać serca przed gwałtowną reakcją na jego widok.

W ciągu tej krótkiej chwili, kiedy patrzyła na niego, zdołała zapisać w pamięci obraz opalonych ramion pod podwiniętymi rękawami świeżej drelichowej bluzy; grę mięśni ud pod materiałem dżinsów, wyblakłym po niezliczonych praniach. Purpurowy siniak na lewym policzku sprawiał, że jego twarz miała ponury wyraz. Świeżo umyte włosy opadały na brwi, nadając twarzy chłopięcy wyraz. Błękitne oczy błyszczały tym razem złowrogo.

- Co robisz, u diabła? - burknął.

Frances nie odpowiedziała od razu, onieśmielona wrogim brzmieniem jego głosu. Przyszło jej teraz do głowy, że jeszcze nigdy nie słyszała go mówiącego z taką złością. Wyprostowała się i zaczerpnęła oddech, żeby stawić czoło jego rozdrażnieniu.

- Pakuję się - powiedziała z wymuszonym spokojem, starając się nie patrzeć na niego.

- Widzę! - krzyknął, sam zaskoczony siłą swojego głosu. Westchnął ciężko, wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą. - Margaret powiedziała mi, że uregulowałaś już hotelowy rachunek, ale nie mogłem uwierzyć, że mogłabyś wyjechać bez...

- Nie wyjechałabym - przerwała spokojnie. - Odszukałabym cię na pewno. Nie wyjechałabym bez pożegnania.

Ramiona jego drgnęły w gorzkim śmiechu, potem podniósł głowę i długo się jej przyglądał, obejmując ją całą spojrzeniem pełnym niedowierzania.

- Na Boga, Frannie, co ty najlepszego robisz? Coś ty do diabła zrobiła? Spójrz na siebie! - Patrzył z naganą na jej włosy, ubranie. - Wyglądasz jak...

- Wyglądam jak ja sama - powiedziała stanowczo, odwracając się w kierunku walizki. - Frances Hudson. Oto kim jestem. - Zamknęła wieko walizki i przez chwilę jeszcze gładziła palcami jej skórę. Żywe kolory kołdry pod walizką przyciągały jej wzrok, drwiąc gorzkim przypomnieniem tego, co przeżywała tutaj kilka godzin temu. Zamknęła oczy i próbowała poskromić te wspomnienia.

- Ethan - powiedziała, nie patrząc na niego. - Jestem tutaj zupełnie obca. Nigdy nie należałam do tego miejsca. I nie mogę tu zostać.

W głębokiej ciszy, jaka zapadła po jej słowach, Frances wydawało się, że słyszy tylko bicie dwóch serc, w rytmie trochę niezgodnym ze sobą. Nie miała odwagi spojrzeć w górę, nie dlatego, że obawiała się zobaczyć złość, rozczarowanie czy niedowierzanie na jego twarzy, ale po prostu dlatego, że bała się w ogóle spojrzeć na niego. Cokolwiek wyrażałaby jego twarz, on patrzyłby na nią tymi swoimi oczami - tymi przekłętymi

niebieskimi oczami, które wydawały się dotykać jej tam, gdzie nikt jej nie dotykał. Czowała, że wtedy straciłaby panowanie nad sobą. Zrobiłaby wszystko, cokolwiek by jej kazał, o cokolwiek by poprosił, nawet gdyby to było ze szkodą dla nich obojga. Musiała zebrać siły, zanim będzie mogła ponownie spojrzeć mu w oczy.

- Frannie!

- Nie nazywaj mnie tak!

- Frannie, należysz do naszego miasteczka, do tego miejsca.

Należysz tutaj razem ze mną.

Zacisnęła mocno usta i potrząsnęła głową.

- Ja sama zaczęłam już prawie w to wierzyć... prawie... Ale pomyliłam się. Nigdy tu nie należałam.

- Więc co się tutaj, u diabła, wydarzyło? - Nalegał ze złością, głosem tak pełnym siły, że Frances poczuła się jak pływak walczący przeciw naporowi potężnej fali. - Wyjaśnij mi w takim razie, co się stało tu, w tym pokoju, zaledwie kilka godzin temu! Do diabła, Frannie, powiedz mi! Spójrz na mnie!

Przeszedł dwa kroki przez pokój, chwycił ją za ramię i obrócił twarzą ku sobie. Gwałtowność tego gestu rozluźniła jedną ze spinek podtrzymujących kok, która upadła z brzękiem na podłogę. Frances drgnęła, bo oto wyobraziła sobie, że jakaś część jej samej zadrzała i oderwała się od niej, tak jakby Ethan próbował zniszczyć w niej kobietę, którą była, żeby zrobić miejsce dla kobiety, którą powinna się według jego pragnień stać.

W końcu podniosła na niego oczy.

- To, co się stało w tym pokoju, było pomyłką - powiedziała drżąc. - To, co się stało w tym mieście, było pomyłką. Wszyscy traktowaliście mnie jak... jak... kogoś innego i po pewnym czasie ja prawie stałam się tym kimś innym. Zapomniałam, kim jestem naprawdę - dokończyła szeptem.

Oczy Ethana pociemniały.

- Traktowaliśmy cię jak osobę, którą jesteś - powiedział posepnie - a nie jak osobę, którą udawałaś.

- Oto osoba, którą jestem - powiedziała rozkładając ramiona, jak gdyby chciała ułatwić prezentację. - Frances Hudson. Mieszkam w Bostonie. Mam wspaniały zawód, świetną przyszłość, piękny dom i...

Skrzyżował ręce na piersi i stał tak, słuchając cierpliwie, a ona miała wrażenie, że Ethan swoją postawą umniejsza jej dokonania, które z taką dumą wyliczała.

- Och, wszystko jedno! - Opuściła ramiona. - I tak nie zrozumiałbyś tego.

- Rozumiem doskonale. Wzrastałaś w biedzie, zazdroszcząc bogatym. Pracowałaś całe życie, żeby dotrzeć tam, gdzie się oni - jak sądziłaś - znajdują. Teraz uważasz, że jeżeli zdobyłaś różne rzeczy, zdobyłaś już wszystko. - Uśmiechnął się chłodno, obserwując wyraz jej twarzy. - Widzisz, Frances? Jednak rozumiem.

Próbowała wytrzymać jego wzrok, ale z niewiadomego powodu poczuła nagle, że łzy zbierają się jej pod powiekami.

- To przez cielaka, prawda? - zapytał ostro. - To ten przekłety umierający cielak...

- Ten cielak... - zająknęła się - ten cielak wyleczył mnie z idiotycznej wyobraźni i fantazji, ot co! - zawołała.

- Nie mogłaś przeboleć jego straty. - Wszedł jej w słowa. - To była pierwsza rzecz w twoim życiu, która, naprawdę coś znaczyła, i teraz nie możesz znieść myśli, że ją utraciłaś, prawda, Frannie? Dlatego nie kolekcjonujesz w swoim skarbcu ważnych rzeczy. Ty wolisz po prostu wypełniać swoje życie czymś takim, co... ze stratą czego możesz się pogodzić. To piękne domy, duże samochody i...

- To nieprawda! - zawołała Frances, cała spięta.

Ethan patrzył na nią dłuższą chwilę. Stopniowo rysy jego twarzy łagodniały, a jeden kącik pięknie rzeźbionych ust unosił się w smutnym uśmiechu. Delikatnym ruchem ujął jej podbródek.

- Nigdy nie znajdziesz w Bostonie tego, co mogłabyś mieć tutaj ze mną, Frannie. Nie kupisz za żadne pieniądze. Prawdziwa kobieta ukrywająca się pod tym głupim strojem nigdy w rzeczywistości nie pragnęła być bogata. Ty po prostu nie chciałaś być biedna. Ale gdzieś po drodze ta różnica ci umknęła.

- To nie ma sensu - wyszeptała, nie mogąc przemóc uczucia, że jest sparaliżowana przez dotyk palców podtrzymujących jej podbródek, a potem, równie nedorzecznie, nie mogąc przemóc rozczarowania, że opuścił w końcu rękę.

- O nie, to ma sens, jak najbardziej. - Podniósł głowę i uśmiechnął się do niej dziwnym uśmiechem. Jego oczy pełne były niewyobrażalnego smutku, który ranił jej serce. - Jeśli kiedykolwiek zobaczysz jeszcze Frannie - powiedział miękko - powiedz jej, że ją kocham. - Po czym odwrócił się do drzwi.

Frances stała w milczeniu.

Powrót do Bostonu wydawał się nie mieć końca. W ciągu pierwszych godzin jazdy autostrada wiała się między nie kończącymi się zalesionymi wzgórzami i pustym krajobrazem. Frances miała wrażenie, że w czasie, gdy ona przebywała w Nowthen, cała cywilizacja gdzieś zniknęła. Poza nielicznymi ciężarówkami i samochodami osobowymi droga była przerażająco pusta i Frances pomyślała, że chyba los już na zawsze skazał ją na podróżowanie autostradą prowadzącą donikąd.

Jeszcze trochę i pojawią się jakieś oznaki cywilizacji, mówiła sobie, zobaczę pierwsze drogowskazy, coraz więcej budynków, a wreszcie chmurę smogu nad miastem na horyzoncie... ale ciche lasy i puste pola przesuwane się przed nią, kierowały jej myśli ku Nowthen.

Powinam była przynajmniej zadzwonić do Harmonów i pożegnać się, ganiła siebie w myślach. Jak również spróbować wyjaśnić coś Margaret, żeby nie patrzyła na mnie takim wzrokiem, jak wtedy, kiedy wychodziłam.

Skrzywiła się z przykrością, przypominając sobie wyraz twarzy Margaret.

- Nie rozumiem - powiedziała stara kobieta, mamrocząc burkliwie - dlaczego wyjeżdżasz tak nagle? Czy wrócisz tutaj? A co z Ethanem? - Frances była w stanie jedynie potrząsać głową na te pytania, bo sama nie znała na nie odpowiedzi.

Teraz, kiedy Boston wydawał się tak odległy, że odnosiła wrażenie, iż nigdy tam nie dojedzie, zaczęła wracać do przeszłości, do czasu spędzonego w Nowthen, z niemal bolesną tęsknotą.

Uświadomiła sobie nagle, że nigdzie nie czuła się tak bezpieczna, jak właśnie tam. Mogłoby się wydawać, że ludzie w Nowthen utworzyli jakiś czarodziejski mur wokół małego zakątka ich świata, chroniący każdego, kto znalazł się w tym kręgu.

Przypomniała sobie koncert parkowej orkiestry i nieoczekiwane poczucie więzi, jakiego tam doznała: serdeczność Elaine, życzliwość Milesa, który dał jej chusteczkę, żeby wytarła ręce pobrudzone lodami, Ethana w pobliżu niej na ławce, słońce igrające w jego włosach.

A potem pomyślała o nieco gburowatej, małomównej Margaret, która zabrała ją do sklepu, żeby kupiła sobie wygodniejsze ubrania; nieznanym ludziom pozdrawiających ją na ulicy, jak gdyby była jedną z nich, Ethana, który nazwał psa jej imieniem...

Nie chciała o nim myśleć, ale i tak wkradał się do każdego przywołanego obrazu, jak nitka wpleciona w tkaninę jej wspomnień z Nowthen.

- Ethan - powiedziała głośno jego imię, a ten dźwięk w absolutnej ciszy samochodu rozbił tamę jej uczuć.

Mimo że każda minuta oddalała ich teraz od siebie, jego wizerunek powracał w jej umyśle z przerażającą jasnością i wyrazistością. Ethan pierwszego dnia, stojący w przejściu do obory, z promiennym uśmiechem; Ethan wbiegający do biura, ociekający wodą po kąpieli, z ręcznikiem owiniętym wokół bioder, uspokajający oszalałego psa, któremu dał jej imię; Ethan w holu, zagłębiony w fotelu, czekający na nią, z bruzdami zmęczenia wrytymi na twarzy; Ethan przywierający do niej na łóżku... Wyobraziła sobie, że mogłaby właśnie teraz znowu czuć na sobie ciężar

jego ciała, gorący, słodki nacisk jego ust na swoich wargach, ukłucia nie ogolonej szczęki na miękkiej skórze piersi.

Walcząc z tym bezlitosnym, duszącym atakiem wspomnień, zmrużyła powieki i zacisnęła desperacko ręce na kierownicy, jakby od tego zależało jej życie.

Mogłabyś znowu mieć to wszystko, Frances, szeptał cichy głos w jej wnętrzu. Wystarczy tylko tam wrócić - zatrzymać samochód i pojechać z powrotem do Nowthen, z powrotem do Ethana. Zawsze mówił, że uciekasz, i oto rzeczywiście uciekasz. Ale czy wiesz, od czego?

Frances nie mogła sobie przypomnieć. Patrzyła na drogę umykającą pod kołami samochodu, ledwie uświadamiając sobie, że rozgląda się za miejscem, gdzie mogłaby zawrócić.

Nagle wjechała na szczyt wzgórza i zobaczyła przed sobą wielki zielono-biały znak: „Boston - 60 km”.

Najpierw pojawiły się rozrzucone domki, potem rozrastające się osiedla mieszkaniowe, w końcu lasy ustąpiły miejsca grupom przedsiębiorstw, zakładów, restauracji. Widziała już niewyraźne zarysy wież i drapaczy chmur Bostonu, strzelających ku niebu.

Frances pędziła od skrzyżowania do skrzyżowania, z oczami utkwionymi w odległym mieście, niepomna zupełnie, że jeszcze niedawno myślała o zawróceniu i powrocie do Nowthen. Jej dom był tutaj, przed nią - jedyny dom, który miała.

Było już zupełnie ciemno, kiedy przekreśliła klucz w zamku. Wyczerpana fizycznie i emocjonalnie, weszła do przedpokoju, zapaliła światło i czekała, aż ogarnie ją znajome ciepło. Stała przez chwilę w ciszy, ale jedynym uczuciem, jakie ją opanowało, była dziwna pustka. Starannie

zdobione wnętrze tego mieszkania wyglądało jakoś sztucznie. Politurowane antyki przypominały eksponaty muzealne, a nie umeblowanie domu mieszkalnego. Cisza tego samotnego miejsca dzwoniła jej w uszach.

Wstrząsnęła się, bo ogarnął ją niewytłumaczalny chłód.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tego ranka po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, Frances zasnęła i było to dla niej przeżycie równie żenujące jak wszystko, co zdarzyło się podczas ostatniego tygodnia. Ubrała się szybko w brązową sukienkę o surowym, niemal męskim kroju, chwyciła teczkę i wybiegła z domu.

Mimo pośpiechu przybyła do pracy o całą godzinę później niż pozostali pracownicy. Kiedy szybkim krokiem szła przez pomieszczenia administracji do gabinetu szefa, towarzyszyły jej spojrzenia pełne niedowierzania.

Przecież nie jestem aż tak bardzo spóźniona, myślała z irytacją, skrepowana tymi spojrzeniami. Nachmurzona, szła jeszcze szybciej przez labirynt kabin pracowników. Nikt nie zawołał do niej na powitanie, nikt nie pozdrowił mimo tygodniowej nieobecności.

Jestem w pomieszczeniu pełnym ludzi, z którymi przepracowałam tyle lat, myślała przygnębiona, a czuję się tu bardziej wyobcowana niż w miasteczku, w którym żyją zupełnie obcy mi ludzie.

Ale nie tylko brak więzi z innymi pracownikami firmy powodował uczucie izolacji; obca była jej również ta niesłychana, obłądana wprost aktywność ludzi wokół niej. Wydawało się, że każdy bardzo się śpieszy, nawet jeżeli nie ruszał się z miejsca. Dzwoniły dziesiątki telefonów jednocześnie, dźwięczały klawiatury komputerów, pióra biegały po papierze w szalonym wyścigu ku jakiejś niewidzialnej linii swojego finiszu.

Co oni wszyscy robią? - zastanawiała się Frances, nie pamiętając zupełnie, że jeszcze tak niedawno była jedną z nich.

Prezes spółki podniósł siwiejącą głowę i spojrzał na nią, kiedy weszła do jego gabinetu.

- Dzień dobry - powiedziała, zbliżając się do biurka. - Przepraszam za to spóźnienie.

Machnął lekceważąco ręką, ale nie przestawał przyglądać się jej uważnie.

Frances nachmurzyła się nieco, ręce splotła z tyłu za plecami. Dlaczego szef przygląda jej się w ten sposób? Dlaczego wszyscy patrzyli na nią tak dziwnie tego ranka? Czy tylko dlatego, że się spóźniła?

- Dobrze, że już wróciłaś, Frances - powiedział, po czym uśmiechnął się. - A tak przy okazji, bardzo mi się podobają twoje włosy.

Ręka Frances powędrowała do miejsca, gdzie powinien się znajdować ciasno upięty kok, i wtedy przypomniała sobie, że nie upięła włosów tego ranka. Po prostu nie miała czasu o tym pomyśleć. Nie przyszło jej zresztą do głowy, że ktoś mógłby się zdziwić, że w ogóle mógłby zwrócić na to uwagę - nosiła je przecież rozpuszczone, luźno opadające na ramiona w Nowthen... Ale teraz nie jesteś już w Nowthen, napomniwała surowo samą siebie. Wystarczyło, że spędziła tam tydzień, a już to, co by ją przedtem raziło, wydawało się zupełnie naturalne. Tutaj jednak, w ciągu wszystkich lat, które przepracowała w swoim biurze, nigdy jej się nie zdarzyło uczesać w ten sposób. Nic dziwnego, że wszyscy tak się jej przyglądali tego ranka. Najwidoczniej nie poznali jej.

- Usiądź, Frances. Nie krępuj się. - Prezes skierował ku niej zza biurka rozpromieniony wzrok. - Dziś rano miałem telefon od jednego z twoich przyjaciół.

Frances zrobiła szybko w myśli przegląd swoich znajomych i stwierdziła z przerażeniem, że nie ma nikogo, kogo by mogła umieścić na liście przyjaciół. Uniosła więc brwi pytająco.

- Z Nowthen - wyjaśnił prezes, a jej serce skoczyło do gardła.

Ethan. To musiał być Ethan, pomyślała. Czując, że kolana uginają się pod nią, poszukała po omacku ręką oparcia fotela za sobą.

- Naprawdę? - szepnęła, osuwając się na skórzane siedzenie i przygotowując na dźwięk tego imienia, które za chwilę będzie wymówione na głos.

Przesunęła się na brzeg fotela, ze złączonymi stopami i rękami złożonymi na kolanach. Oczy jaśniały niezwykłym blaskiem jak bursztyń w promieniach słońca.

- Wygląda na to, że zrobiłaś na nich niemałe wrażenie - uśmiechnął się szef. - Elaine Harmon prosiła przez telefon o twój adres domowy.

Frances poczuła się tak, jakby jej płuca były balonami, z których nagle ucieka powietrze. To nie Ethan, pomyślała, a rysy jej twarzy wyciągnęły się nieco z wyrazem zawodu.

- Zazwyczaj nie podajemy obcym ludziom adresów naszych pracowników - ciągnął prezes - ale w tym wypadku wydawało mi się, że nie będziesz miała nic przeciw temu. Ona powiedziała, że chciałaby ci posłać jakiś prezent.

- Och - uśmiechnęła się słabo Frances. - Jak to miło...

- Harmonowie nie mogli się ciebie nachwalić - paplał dalej, nie zwracając uwagi na reakcję Frances. - Opowiadali o wszystkich przyjaźniach, jakie zawarłaś w Nowthen i o tym, jak świetnie reprezentowałaś Northeastern Casualty.

Frances udawała, że słucha z uprzejmą uwagą. Miała podniesioną głowę i przepisowy uśmiech gościł na jej twarzy, a oczy błyszczały widocznym zainteresowaniem. W rzeczywistości jednak słowa szefa niemal do niej nie docierały. To nie Ethan, powtarzała w myśli bez sensu.

Trwało to dłuższą chwilę, aż usłyszała swoje imię, wymówione dwa razy w formie zapytania, i zauważyła, że prezes patrzy na nią uważnie. Zamrugła gwałtownie, budząc się z zamyślenia, i zmusiła się, by skupić na nim wzrok.

- Czy dobrze się czujesz, Frances?

Skinęła szybko głową i powiedziała z naciskiem:

- Oczywiście.

- Wydajesz mi się trochę... rozkojarzona.

- Jestem zmęczona. Miałam wczoraj długą podróż.

Kiwnął głową, zamyślony, ciągle spoglądając na nią z dezaprobatą.

- Może powinnaś jeszcze dzisiaj odpocząć?

- Dobrze się czuję - powtórzyła sztucznie ożywionym głosem.

Po konferencji, na której omawiano sprawy związane z wyjazdem do Paryża, a która wydawała się nie mieć końca, Frances wycofała się do swego gabinetu. Powinna zająć się teraz dokumentami, które otrzymała, ale wzrok jej wędrował ciągle od stosu papierów na biurku do widoku za oknem. Ze swojego punktu obserwacyjnego na dziesiątym piętrze widziała teraz niepokojąco szary, w porównaniu z feerią kolorów wsi, miejski krajobraz. Widok miasta, które było od urodzenia jej domem, powinien być znajomy i krzepiący. Czowała się tu jednak obco, jak człowiek wysiedlony ze swojego miejsca.

Kiedy wyszła, korzystając z popołudniowej przerwy, przyłapała się na tym, że przechylona przez barierkę obserwuje innych pracowników. Pędzili, biegli na wyścigi, wspinając się po swojej drabinie sukcesu, nie bacząc zupełnie, kogo i co podepczą w tym biegu na szczyt. Czy ona naprawdę kiedyś sądziła, że to środowisko działa mobilizująco? Współzawodniczenie w tym wyścigu wydało się jej - po dawce innego życia w Nowthen - zupełnie bezsensowne.

Jutro będzie lepiej, pocieszała się.

Ale wcale nie było lepiej ani tego, ani następnego dnia, ani nawet jeszcze dzień później. Ciągle czuła się w pracy jak człowiek obcy. Codziennie liczyła godziny dzielące ją od wyjścia z biura, a kiedy mogła już je opuścić, okazywało się, że przybycie do domu było zawsze tak samo przykrym rozczarowaniem. Czuła się dziwnie rozdwojona, jak turysta przebywający na wakacjach, który cieszy się wprawdzie z poznania nowych miejsc, ale tęskni za spokojną przystanią swojego domu. To wszystko, co Frances kochała w Bostonie - jego typowe dla wielkiego miasta wyrafinowanie, wieczory pełne życia, rozrywki kulturalne - wydało się teraz rażąco powierzchowne. Nawet kiedy wybrała się na przedstawienie tak długo oczekiwanego Baletu Kirowa, złapała się na rozmyślaniu, że dziś mogłaby być na koncercie orkiestry w Nowthen, że oto traci okazję do spędzenia pikniku z przyjaciółmi.

Kiedy minął tydzień od jej powrotu do pracy, sekretarka przyniosła bilet do Paryża.

- Wyjeżdżasz w przyszłą środę - powiedziała z nieco zawistnym uśmiechem. - Chciałabym być na twoim miejscu.

Frances odprowadziła ją wzrokiem. Ja też, wyszeptała, kiedy dziewczyna opuściła już pokój.

W drodze powrotnej do domu zatrzymała się w swojej ulubionej restauracji, usiadła jak zwykle przy jednoosobowym stoliku i wtedy poczuła się nagle straszliwie samotna. Doskonale przyrządzone jedzenie nie chciało jej przejść przez gardło. Najbardziej jednak zirytowała ją myśl, że w tej chwili oddałaby cały ten wykwintny obiad za talerz sałatki ziemniaczanej przyrządzonej przez Margaret.

Jesteś głupia, łajała później samą siebie, zamykając za sobą drzwi mieszkania. Patrzyła chmurnie na antyczny stół stojący w holu, jak gdyby to on ponosił winę za to, co działo się teraz w jej umyśle.

Przerażało ją, że rozmyślenia o Nowthen, które zaprzętały jej umysł przez cały tydzień, niszczyły jej uporządkowany model życia. Co się z nią dzieje? Jak można ciągle myśleć o małym, zacofanym miasteczku, mając Boston u stóp, a w perspektywie wyjazd do Paryża? Cóż ją tak pociąga w tym talerzu sałatki ziemniaczanej, w skromnej wiejskiej gościnności, w jednym popołudniu spędzonym w hotelowym łóżku...

Siła tych wspomnień, które chciała ukryć jak najgłębiej w zakamarkach swojej pamięci, wydawała się pchać ją z powrotem ku drzwiom. Oparła się o nie, wstrzymując oddech. Próbowwała odsunąć od siebie wytłumaczenie tej dziwnej pustki, która zagościła w jej sercu, tego drażącego ją uczucia, że coś traci.

To dlatego, że tu jest tak cicho, doszła po chwili do wniosku. To przez tę cholerną ciszę takie myśli chodzą mi po głowie. Może powinnam wziąć sobie jakiegoś zwierzaka? Kota, a może psa...

Ale natychmiast pojawiło się wspomnienie przerażającej, warczącej bestii, która nosiła jej imię, a to od razu przypomniało jej Ethana.

Nie myśl o nim! - nakazała sobie i mocno zacisnęła powieki. Myśl o czymś innym, o czymkolwiek. Ale z obfitości wspomnień myśl wybierała tylko tę silną, pięknie wyrzeźbioną twarz z oczami niezapomnianej barwy.

Wyprostowała się gwałtownie jak kukielka, którą nagle pociągnięto za sznurek. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, podeszła do stolika z telefonem, wyciągnęła notes i wykreśliła numer. Na dźwięk jego głosu, płynącego przez druty, ugięły się pod nią kolana.

- Ethan? - wyszeptała.

- Frannie?

Z trudem wydobyła z siebie głos.

- Pomyślałam, że może zechciałbyś przyjechać jutro do Bostonu. Poszlibyśmy na obiad. Mam bilety na koncert symfoniczny, ale może raczej wolałbyś, żebyśmy...

- Nie mogę teraz rozmawiać, Frannie... Właśnie wychodziłem, bo wzywają mnie do wypadku. Przyjadę jutro.

Tak nagle przerwał połączenie, że Frances stała jeszcze przez chwilę nieruchomo, słuchając sygnału w słuchawce.

Przyjedzie! - powiedziała w końcu głośno, a potem, jak nastolatka oczekująca pierwszej randki, pośpieszyła do sypialni, żeby przygotować sobie to, w co się jutro ubierze. To musi być coś najlepszego. Wszystko musi być najlepsze.

Kiedy dokładnie w południe zadźwięczał dzwonek u drzwi, Frances zamarła przed lustrem w sypialni. Ogarnął ją nagle trudny do

wytłumaczenia lęk. Jeszcze przed chwilą była tak szczęśliwa, cieszyła się swoim wyglądem, teraz wszystko wydało się jej okropne.

Oczy były zbyt jasne, cera zbyt blada, za to kredka do warg - za ciemna. Przygryzła z niepokojem dolną wargę, bo teraz przyszło jej do głowy, że miętowozielona bluzka prezentuje się jakoś ubogo, że dekolt ma za głęboki, że odsłania zbyt wiele. Nawet miękko układające się białe spodnie od dresu wydawały się bardziej odpowiednie dla kłowna. To wszystko przez te włosy, doszła do wniosku, szybko ściągając czerwonawobrazową masę w tył głowy i spinając ją kłamrą na karku. Wydawało się jej, że to pomogło, pośpieszyła więc do drzwi na odgłos drugiego dzwonka.

Kiedy je otworzyła, oboje spoglądali na siebie przez chwilę, stojąc bez ruchu. Ethan ubrany był w spłowiałe džinsy i białą, rozpiętą pod szyją koszulę, której głębokie rozchylenie ukazywało opaloną pierś. Na jej dekoszula wydawała się olśniewająco biała. Frances wydał się teraz wyższy niż w Nowthen, jak gdyby miejskie niebo zawieszono było niżej i ocierało się o jasne pasma jego włosów. Wszystko to dostrzegła tylko kątem oka, bo nie spuszczała wzroku z jego oczu. Zaskoczyło ją, że zniknął gdzieś ich jaskrawo-błękitny odcień; teraz wydawały się dużo ciemniejsze, prawie kobaltowe.

Zdenerwowanie spowodowało, że jej powitanie wypadło sztucznie, jak uprzejmość, którą okazuje się obcym:

- Cześć, Ethan. Nie wejdiesz do środka? Kiwnął głową niedbale, korzystając z zaproszenia.

Frances zamknęła drzwi i oparła się o nie, uśmiechając się niepewnie.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała, ale Ethan nie odpowiedział. Jego wargi leciutko drgnęły w odpowiedzi na jej zażenowanie wywołane tą niezręczną uwagą.

Czas płynął tak wolno, że wydawało się to nie do zniesienia, a oni ciągle trwali w milczeniu. W końcu Frances poczuła, że napięte mięśnie policzków, utrzymujące długo sztuczny uśmiech, sprawiają jej ból.

- Napijemy się wina? - zaproponowała, wskazując mu drogę do kuchni. Nie miała pewności, czy w domu ma w ogóle jakieś wino, ale musiała znaleźć sposób ucieczki od tego natarczywego spojrzenia.

Przyklękła przed otwartą lodówką i z ulgą spostrzegła nie napoczętą butelkę chablis na dolnej półce. Próbując zapanować nad drżeniem rąk, otworzyła wino i napełniła kieliszki. Starła się przy tym nie patrzeć na niego.

- Za twoje odwiedziny. - Usiłowała nadać swemu głosowi naturalne brzmienie, ale jego spojrzenie pozbawiało ją zupełnie pewności siebie. Spuściła wzrok i spoważniała.

- Dlaczego nic nie mówisz?

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz „cześć”. Powiedz, że cieszysz się, że mnie znów widzisz.

Powiedz cokolwiek!

Ethan westchnął ciężko, po czym powiedział:

- Jesteś zdenerwowana. - Zabrzmiało to jak wyrzut.

- Oczywiście, że jestem zdenerwowana. - Próbowała zaśmiać się wesoło, ale zabrzmiało to żałośnie. - Nigdy jeszcze nie robiłam takich rzeczy...

- Jakich rzeczy?

Wzruszyła ramionami, zażenowana.

- No wiesz, zadzwoniłam do mężczyzny, żeby umówić się na randkę...

Ethan uniósł brwi.

- Na randkę? Czy to ma być randka?

Frances cofnęła się odruchowo, słysząc gniew w jego głosie.

Wszystko układa się jak najgorzej, myślała zrozpaczona z powodu własnej niezręczności. Jakoś ich wzajemne uczucia były tutaj zupełnie inne. On też był tutaj inny, jak gdyby to, co przyciągało ich ku sobie, mogło istnieć tylko w wąskich granicach Nowthen.

- Może pomyliłam się, dzwoniąc do ciebie - wymamrotała patrząc w podłogę.

Spojrzała ukradkiem do góry, słysząc jego westchnienie, i zobaczyła, że podniósł głowę i rozgląda się dokoła, udając zainteresowanie niezbyt ciekawym wyposażeniem jej kuchni.

- Więc to jest twój dom - powiedział posepnie.

Frances obserwowała go, jak unosi kieliszek do ust. Pomyślała, że jest zbyt wysoki, zbyt barczysty jak na to pomieszczenie. Nagle poczuła, że znalazła się w pułapce, doznała niemal klaustrofobii, jakby w tej małej kuchni nie wystarczało dla nich obojga tlenu.

- Chodź, obejrzyj sobie wszystko - powiedziała, prowadząc go za sobą i czując wzrok utkwiony w jej plecach.

Kiedy znaleźli się w salonie, Ethan przechodził z jednego miejsca na drugie, muskając lekko ręką lśniąca powierzchnię wypieszczonych antyków, a Frances stała na środku pokoju, obserwując jego reakcję. Ten pokój był jej gablotką wystawową. Tu miała najpiękniejsze przedmioty:

wspaniałe antyki, najcenniejsze dzieła sztuki. Ale nie wiadomo dlaczego oglądanie ich przez Ethana jakoś umniejszało ich wartość.

Frances zauważyła z przykrością, że zatrzymał się przed akwarelą, która wisiała nad kanapą - jedynym przedmiotem w tym pokoju, który nie miał żadnej wartości.

- To mi się podoba - oświadczył. - Nawet bardzo. Ale nie znam tego malarza. - Spojrzał z niezadowoloną miną na nabazgrany podpis.

- To jakiś student szkoły plastycznej. On nigdzie nie wystawia swoich obrazów. Prawdę mówiąc, sprzedaje je po prostu na chodniku w centrum miasta. Nie wiem doprawdy, co skłoniło mnie, żeby to kupić i powiesić. Przecież to zupełnie bez wartości.

Ethan wolno odwrócił głowę, żeby spojrzeć na nią.

- Kupiłaś to, bo jest piękne. Na tym polega jego największa wartość.
- Nagle uniósł wargi w ledwo dostrzegalnym uśmiechu, a Frances poczuła od razu, że serce żywiej jej zabiło. - Może jeszcze coś z ciebie będzie, Frannie.

Wstrzymała oddech. Nazwał ją Frannie... Poczowała, że z niewyjaśnionych powodów zbiera jej się na płacz.

- Pokaż mi resztę swojego domu - powiedział nagle.

Frances pokazywała wszystko, podniecona tym zadaniem, wędrowała z nim przez całe mieszkanie. Była dumna jak dziecko ze swoich osiągnięć i zupełnie nie myśląc, co robi, zaczęła omawiać szczegółowo pochodzenie i wartość poszczególnych przedmiotów, zapominając, że nie jest przewodnikiem w galerii sztuki.

Ethan początkowo słuchał z uwagą, ale kilka komentarzy, które wygłosił na temat niektórych przedmiotów, zdradziło jego zaskakującą

wiedzę w tej dziedzinie. Zanim zakończyli wycieczkę po mieszkaniu i wrócili do kuchni, Frances przypomniła sobie, że przecież pochodzi z zamożnej rodziny, która na pewno posiada oryginały tych dzieł malarskich, jakich reprodukcje powiesiła u siebie z taką dumą.

- Skąd pochodzisz? - zapytała nagle. Upił łyk wina i dopiero odpowiedział:

- Prawdę mówiąc, urodziłem się niedaleko stąd.

- Jesteś z Bostonu?

Kiwnął głową, po czym wspomniął starą, szacowną dzielnicę położoną na drugim brzegu Charles River, dzielnicę wielkich posiadłości i wspaniałych rezydencji, którą Frances widziała zaledwie raz, z okna miejskiego autobusu.

- Czy twoi rodzice jeszcze tam mieszkają?

- Myślę, że tak.

- Jak to myślisz? Nie wiesz, gdzie mieszkają twoi rodzice?

Ethan wzruszył ramionami ze złością i odwrócił wzrok.

- Już od lat z nimi nie rozmawiam. Niewiele mamy ze sobą wspólnego. Myślałem, że Beth opowiedziała ci to wszystko.

- Wspomniała mi tylko, że nigdy nie opowiadasz o swojej rodzinie, ale nie mówiła bynajmniej, że nigdy nie rozmawiasz z nimi...

- A co to za różnica?

Frances zupełnie odebrało mowę. W końcu wybuchnęła:

- I ty masz czelność pouczać, jak ważne jest pokrewieństwo, więzi rodzinne? Ty, człowiek, który odciął się całkowicie od swojej rodziny, swojego domu...

- To nie jest mój dom - przypomniawszy jej chłodno.

Nagle spojrzenie jego stało się ostre i skupiło na niej z intensywnością promienia laserowego. - Przynajmniej nie jest to bardziej mój dom niż dla ciebie miejsce twojego urodzenia. Może zechciałabyś powiedzieć mi, kiedy ostatni raz tam byłaś?

- Mogę spotykać się z moją matką, nie odwiedzając wcale tego miejsca - odparowała ostro. - Zazwyczaj spotykamy się gdzieś po drodze. Poza tym tu chodzi o wzajemny stosunek między ludźmi, a nie o miejsce, z którym są związani.

Ethan patrzył na nią przez chwilę, po czym potrząsnął bezradnie głową.

- To bardzo skomplikowane, Frances. Wielka szkoda, że nie możesz siebie usłyszeć.

Frances najeżyła się odruchowo, gdy dosłyszała sarkazm w jego głosie, choć umknęła jej zupełnie istota tego, co powiedział.

- Zrobię lunch - powiedziała, kierując się w stronę lodówki. - Usiądź.

- Nie.

Zesztywniała i odwróciła się zaskoczona, wpadając prosto na niego. Zanim zdążyła się zorientować, chwycił ją mocno w talii.

- Nie chcę jeść lunchu, Frances. - Kiedy próbowała się wyrwać, przytrzymał ją mocniej, a siła tego uścisku była miarą jego złości. - Chcę wiedzieć, o co tu, do diabła, chodzi. Dlaczego chciałaś, żebym przyjechał?

Frances odchyliła się do tyłu, krzywiąc się z bólu, kiedy jego palce zaciskały się mocno na delikatnej skórze jej ramion.

- Po prostu pomyślałam, że miło będzie zobaczyć cię znowu. To wszystko.

Ethan znieruchomiał.

- Myślałaś, że mogłoby być miło? – powtórzył głucho. - Mój Boże, to rzeczywiście jest randka, prawda? To wszystko, co miałaś na myśli?

- A cóż w tym złego? - zapytała wyzywająco, bezskutecznie próbując wyzwolić się z jego uścisku. Rozczarowanie nagle przeobraziło się w gniew. - Pomyślałam, że chcę zobaczyć cię znowu. Czy to takie straszne?

Przypomniała sobie jego pierwszy uśmiech; uśmiech, który rozjaśnił ciemność obory. Teraz był to zupełnie inny uśmiech - mroczny, przerażający.

- Pomyślałaś, że będziemy mieli mały przyjemny romans, tak, Frances? - Jego głos był równie przerażający: pusty, pozbawiony uczucia. Raz jeszcze spróbowała się uwolnić, ale szarpnął ją tak silnie, że zaparło jej dech.

- Myślałaś, że mogłabyś mieć jedno i drugie, prawda? Swoje własne życie, a również i część mojego, tak długo, dopóki nie staną się zbyt bliskie. Taki miałaś plan? Czy to jest ten szczyt osiągnąć nowoczesnej kobiety? Życ sobie jak zwykle i mieć mężczyznę, który będzie systematycznie zaspokajał twoje potrzeby w...

- Nie! - wyrzuciła z siebie, walcząc teraz poważnie, odpychając go rękami z całej siły. - Nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz...

- Mówię o tym, czego oczekujesz ode mnie - warknął, a potem chwycił jej głowę i przyciągnął do siebie. Patrzył na nią przez chwilę, a to spojrzenie było zapowiedzią tego, co w chwilę potem zrobiły jego usta.

Frances zeszywniała, kiedy jej wargi spłaszczyły się pod naporem jego ust i w tym momencie oszołomienia ręce Ethana przesunęły się ku jej pośladkom, przyciągając je gwałtownym ruchem do jego bioder.

Zanim umysł mógł ogarnąć nowe doznania, język rozsunał jej wargi.

Broń się! To była ostatnia racjonalna myśl, którą skierowała jak rozkaz ku swemu ciału, ale jedyną odpowiedzią ciała było bezradne poddanie się.

- Ethan - szepnęła. Z satysfakcją zauważyła, że zachwiał się i oparł o bar. Jeszcze przed chwilą miał nad nią przewagę; teraz, dzięki sile jej płci, szanse były równe.

- Czy tego ode mnie oczekiwałaś? - zapytał szorstko, a jego ręce powędrowały ku jej nabrzmiąłym piersiom.

Wszystkie słowa, jakie miała wypowiedzieć, zamarły jej w gardle pod natarczywym dotykiem jego rąk. Kolana ugięły się pod nią i zaczęła osuwać się na podłogę. Ethan w jednej chwili chwycił ją, podniósł bez wysiłku i posadził na barze, dysząc głośno, kiedy nieporadnie próbował rozpiąć jej bluzkę.

- Cholera - mruknął, jednym szarpnięciem odrywając guziki.

Frances oparła głowę o szafkę i przymknęła oczy, kiedy Ethan ukrył głowę w zagłębieniu między piersiami. Nabrzmiące niemal do bólu, rozpychały cienką koronkę stanika. Zsunął go, żeby je uwolnić, a kiedy ustami objął jeden ze wzgórków, westchnęła głośno, ujęła jego głowę i przycisnęła mocno do siebie.

- Więc jak to będzie, Frances? - mruzczał, a jego oddech parzył jej skórę jak szalejący płomień, kiedy przesuwiał usta między żebrami i pępkiem. Nawet nie poczuła, że rozpiął zamek jej spodni. - Czy mamy się spotykać raz w miesiącu? - zapytał, muskając delikatnie językiem skórę nad brzegiem koronki jej fig. - A może dwa razy? Czy to ja powinienem przyjeżdżać tu zawsze w sprawach seksualnych, czy może ty też od czasu do czasu zawitasz w Nowthen?

Frances siedziała sztywno z szeroko rozwartymi oczami.

Ethan wyprostował się i jego twarz znalazła się na poziomie jej wzroku. Mimo że czuła wyraźnie żar bijący od jego ciała i słyszała nierówny, przyspieszony oddech, oczy patrzyły chłodno, a głos był idealnie opanowany. Frances przyglądała się mężczyźnie z przerażeniem. Musiała przyznać, że potrafi on w pełni panować nad namiętnościami.

- A może oddzielimy nasze dwa światy i będziemy spotykać się gdzieś po drodze - zakończył kąśliwie

- tak jak to robicie z matką?

- Przestań - szepnęła słabym głosem. - Nie mów w ten sposób. To brzmi tak...

- Brutalnie? Prostacko? Jak jeszcze nazwiesz taki związek seksualny pozbawiony uczuciowego zaangażowania? - Przymknął na chwilę oczy, a kiedy je znowu otworzył, jego spojrzenie wydawało się błagalne.

- Pojedź do domu, Frances. Zrób to. Zrób chociaż raz w życiu coś naprawdę ważnego.

Zamknęła powieki, żeby nie patrzeć na niego, a końce palców zaciśnięte na krawędzi baru zbieleły z wysiłku.

- Jesteś niesprawiedliwy - szepnęła, a głos jej drżał.

- Tu jest mój dom. Jak możesz domagać się, żebym go porzuciła, skoro sam nie potrafiłbyś tego zrobić? Mógłbyś przecież pracować w Bostonie, moglibyśmy tu mieszkać...

Jego wzrok był bezlitosny.

- Dlaczego miałbym zechcieć tu mieszkać? - zapytał spokojnie. - Tu mieszka Frances Katharine Hudson, a ja wcale jej nie kocham. Kocham kobietę o imieniu Frannie i, jak dotąd, widywałem ją tylko w Nowthen.

Frances zawahała się. Frannie i Frances walczyły w niej o władzę. Na jej twarzy malowały się zmagania tych kobiet, aż w końcu ukazała się zwyciężczyni.

- Tyle lat pracowałam ciężko, żeby stworzyć tutaj życie dla siebie - powiedziała.

Upłynęła długa chwila, zanim Ethan spojrział na nią. W końcu kiwnął głową, przytknął oczy i westchnął ciężko. Potem delikatnymi ruchami, przypominającymi dotknięcia brata, nie zaś kochanka, podciągnął jej spodnie, nasunął stanik i poprawił bluzkę.

Frances siedziała cały czas bez ruchu, jak sparaliżowana. Widziała, jak pasma jego włosów poruszają się i walczyły ze sobą, żeby nie wyciągnąć ręki i nie pogłodzić ich. Kiedy skończył, cofnął się o krok i popatrzył na nią uważnie. Widząc swoje odbicie w jego oczach, nagle wydała się sobie bardzo mała.

- A tak naprawdę nigdy nie mieliśmy szans, prawda? - zapytał ze smutnym uśmiechem.

A ona siedziała ciągle bez ruchu, jeszcze długo po tym, jak odszedł.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po wyjściu Ethana Frances prawie godzinę przechadzała się bezmyślnie po pokojach. W końcu dotarła do sypialni, gdzie zrzuciła bluzkę i spodnie, obojętna na to, że pogniotą się, leżąc na podłodze.

Nie myśl o tym, powtarzała ciągle, patrząc zrezygnowana na swoje odbicie w lustrze. Piersi uwięzione pod stanikiem pamiętały jeszcze dotyk jego rąk i warg...

Przymknęła oczy i zacisnęła zęby. Od tej chwili będzie się kierować tylko odruchami, skoro własne myśli okazały się wrogiem, którego za wszelką cenę trzeba się wystrzegać. A zatem nie myśląc o tym, co robi, wciągnęła na siebie dzinsy i podkoszulek z krótkim rękawem, które kupiła w Nowthen. Ściągnęła włosy w koński ogon. Wzięła klucze, wyszła z domu i skierowała się w stronę samochodu.

Przebycie odległości między dzielnicą wieżowców ze szkła i stali, wśród których żyła obecnie, a niskimi, przysadzistymi domkami z cegły z jej przeszłości zajęło niecałe pół godziny. To prawda, że od lat nie odwiedziła domu, w którym spędziła dzieciństwo. W nowym życiu nie było miejsca na wspomnianie dawnego życia, ale dzisiaj te wspomnienia wydawały się jakby mniej przykre. Wąskie uliczki były mniej ciemne, niż wydawały się niegdyś; stare cegły budynków robiły raczej wrażenie różowych i ciepłych, w świetle popołudniowego słońca, niż podniszczonych i ubogich.

Kiedy zatrzymała się przy krawężniku, zastanawiała się, czy ta okolica rzeczywiście zmieniła się na korzyść, czy też zmienił się jej własny sposób patrzenia. Ta myśl nurtowała ją jeszcze, kiedy wchodziła

do budynku, który był domem matki - który przez osiemnaście lat był jej domem.

Otworzyła drzwi i natychmiast otoczyły ją zapachy i dźwięki młodości. Wspinając się na górę po skrzypiących drewnianych schodach, chłoneła zmieszane zapachy z przeszłości - pani McFiel piekła swoje słodkie, pachnące cytryną makowe ciasteczka, a w czyimś mieszkaniu kipiał w garnku na piecu makaron z sosem.

Frances uśmiechnęła się, nie zdając sobie nawet sprawy, że się uśmiecha. Słuchała monotonnego odgłosu marudzenia jakiegoś sennego dziecka i łagodnego zawodzenia saksofonu, dobiegającego z sutereny.

Zatrzymała się przed drzwiami mieszkania matki. Patrząc na wszystkie rysy w starym drewnie, pozwoliła, żeby fala przeszłości obmyła ją łagodnym strumieniem jak w ciepłej kąpieli. Kiedy była mała, ciągle ktoś pukał do tych drzwi, tak było prawdopodobnie i teraz. W tym zakątku miasta łagodna i wielkoduszna postać jej matki była niemal legendą i chociaż ona sama uważała, że tacy dobrzy sąsiedzi i przyjaciele są prawdziwym darem losu, w rzeczywistości niewiele to miało wspólnego z dobrodziejstwem losu; po prostu zasłużyła sobie na każdego z nich.

Ale to nie życzliwość sąsiadów trzymała ją tutaj - Frances przekonała się, że wszędzie można spotkać życzliwych ludzi. To było coś innego, coś, czego zupełnie nie mogła zrozumieć.

- Frannie! - zawołała radośnie matka, otwierając drzwi, kiedy Frances zapukała. Uszczęśliwiona tą niespodzianką, rozpromieniła się, a uśmiech wyłobił na jej twarzy tysiące zmarszczek. Frances patrzyła na wierne odbicie swoich rysów w twarzy matki, na oczy przypominające jej własne, tylko cieplejszej barwy. Krótkie, miękko układające się włosy

były już w przeważającej części siwe, ale rdzawe pasma prześwitujące pod siwizną świadczyły o ich dawnym bogactwie.

- Tak długo już tu nie byłaś... co za wspaniała niespodzianka! -

Matka uścisnęła ją mocno, a potem przytrzymała na wyciągnięcie ręki. -

Niech ci się przyjrzę! - Jej uśmiech wyrażał zaskoczenie i radość. - W tym ubraniu wyglądasz jak dawna Frannie.

Frances spojrzała na swoje dzinsy i bluzkę takim wzrokiem, jakby zobaczyła je po raz pierwszy.

- Nie zastanawiałam się. Włożyłam cokolwiek, co było pod ręką.

- U ciebie, Frannie, nic nie było „pod ręką”, ale zawsze na swoim miejscu. Czy jadłaś już lunch? Nie szkodzi. Nawet jeśli zjadłaś, to na pewno za mało - jesz jak ptaszek. Chodź do kuchni - zrobimy kawę, może z pierożkiem jabłkowym prosto z pieca. A potem przygotujemy dla nas obu wspaniałą kolację...

Frances spojrzała na nią, uśmiechając się bezradnie. Nie było sposobu, żeby wymówić się od kawy, pierożka czy dziesięciodaniowego posiłku, jeśli matka chciała, żeby to zjeść. Instykt opiekuńczy był u niej wciąż tak samo silny, jak wtedy kiedy Frances była małą dziewczynką.

Idąc do kuchni, przechodziły przez salonik pełen prezentów, które matka dostawała od niej w ciągu tych lat. Nowoczesne, kosztowne przedmioty wyglądały tutaj jak wyrwane strzępy przeszłości, schwymane i umieszczone w tym ciasnym, staromodnym mieszkaniu. Spojrzała z gniewem na drogi obraz, niestosownie umieszczony na wyblakłej kwiecistej tapecie, której matka uparcie nie chciała zedrzeć i zastąpić nową. Albo choćby ten postrzępiony, taniutki jedwabny szal, owinięty wokół prostych geometrycznych linii nowoczesnego telewizora o dużym

ekranie. Czyż matka nie widzi, jakie to okropne? I czy nie widzi, jak idiotycznie wygląda nowusieńka, zautomatyzowana maszyna do szycia ustawiona na starym, rozwalonym już modelu maszyny na pedał. Nie zgadza się, żeby ją wyrzucić, tylko dlatego że to był prezent od...

Frances stanęła nagle jak wryta na środku pokoju. Dobry Boże! Teraz wszystko rozumie. Ten człowiek umarł ponad ćwierć wieku temu, a jeszcze czuje się jego obecność, gdziekolwiek by spojrzeć - w tej starej maszynie do szycia, w tym krzykliwym materiale starego szala, który podarował matce prawie trzydzieści lat temu; nawet w starej tapecie, którą przykleił i wygładzał własnymi rękami w tym samym roku, w którym poślubił jej matkę.

Odetchnęła głęboko i przymknęła oczy, czując, że jest zupełnie obezwładniona przez obecność i zarazem nieobecność tego człowieka, którego właściwie prawie nie знаła. Kiedy otworzyła znów oczy, wzrok jej odruchowo powędrował od razu ku połówkłej, wygniecionej, czarno-białej fotografii ojca. Uśmiechał się odwiecznym uśmiechem ze swojego stałego honorowego miejsca na stole, w pobliżu fotela matki.

- A więc to ty - szepnęła nieznanemu człowiekowi z fotografii, czując zdradzieckie klucie pod powiekami. - To ciebie ona nie mogła tu zostawić.

- Idziesz, Frannie?

Przestraszona głosem matki, Frances zamrugła gwałtownie, po czym odetchnęła głęboko i ruszyła do kuchni. Zatrzymała się w drzwiach i spoglądała na matkę siedzącą przy sfatygowanym stoliku z wyszczerbionym blatem. Przystępowała właśnie do krajania wypieczonej złotej skórki parującego pierożka. Z tyłu za nią znajdowały się ozdobne

szafki z dębowego drewna, rzeźbione przez ojca. Pod stopami miała zdarte linoleum, niegdyś nowe i lśniące, które wybrali dla siebie i wspólnie układali: młoda mężatka i jej niedawno poślubiony małżonek.

- Dlaczego mi nigdy tego nie powiedziałaś? - wyszeptała stojąc ciągle w drzwiach.

Matka spojrzała w jej kierunku, a brwi uniosły się nad jej ciepłymi brązowymi oczami.

- Czego ci nie powiedziałam, kochanie?

- Dlaczego naprawdę nie chciałaś opuścić tego miejsca.

- Ależ mówiłam ci przynajmniej sto razy, Frannie - odrzekła łagodnie. - To jest mój dom.

Frances zacisnęła wargi i potrząsnęła z niezadowoleniem głową.

- To dlatego, że tu jest ojciec, prawda? To był ten prawdziwy powód.

Ręka matki zatrzymała się nieruchomo nad pierożkiem, który miała pokroić.

- To on sprawił, że to w ogóle jest dom, Frannie - powiedziała spokojnie, a Frances nagle poczuła okropny wyrzut, że nigdy przedtem nie mogła tego zrozumieć.

- Nigdy nie powinnam była namawiać cię, żebyś to zostawiła - wyszeptała tłumiąc łzy. - Powinnam była wiedzieć, powinnam zrozumieć...

- Frannie! - Matka podniosła głowę z uśmiechem, który towarzyszył Frances w ciągu całego jej dzieciństwa i dorastania. Uśmiech ten mówił: to nie szkodzi, że stłukłaś tę wazę, że rozlałaś mleko; nic nie szkodzi, że rozdarłaś na placu zabaw tę sukienkę – chociaż wiadomo było, że to była ta najlepsza, świąteczna. Miłość wybaczała wszystko.

- Byłaś zbyt mała, kiedy on umarł. Nigdy nie znałaś mnie jako kobiety zakochanej, znałaś tylko jako matkę. Najprawdopodobniej nie zrozumiałabyś, że to, co twój ojciec i ja mieliśmy wspólnie, było związane z tym miejscem... - Urwała i podniosła głowę, przypatrując się twarzy córki, z uśmiechem i zatroskaniem na zmianę. - Skoro teraz już rozumiesz, myślę, że najlepiej będzie, jeśli opowiesz mi, co zdarzyło ci się w New Hampshire, dobrze?

Zamknęła na chwilę oczy, próbując ogarnąć odległość między ich dwoma światami. To, co Frances zobaczyła na twarzy matki - ogromną miłość, która przetrwała dziesiątki lat i pokonała nawet śmierć - zaparło jej dech. Czy jej twarz też ma taki wyraz, kiedy myśli o Ethanie? A jeżeli tak, to czyż może być na świecie coś ważniejszego od takiej miłości? Czy może być większe osiągnięcie niż zaangażowanie w takie właśnie uczucie? W tej chwili Frances była absolutnie pewna, że gdyby wyciągnęła rękę i dotknęła swojej głowy, poczułaby pod palcami mysie ogonki.

Podeszła do stołu i usiadła. Nagle ogarnął ją lęk przed własną matką, przed kobietą, która zawsze wiedziała doskonale, że nie może być domem miasto, w którym się mieszka, ani ściany nawet najbardziej ekskluzywnego mieszkania.

Prawdziwy dom zaczyna się dopiero od miłości między mężczyzną i kobietą, miłości tak mocnej, że może zapaść korzenie wszędzie, gdziekolwiek zostanie zasiana - w wielkiej metropolii czy w starej, ubogiej dzielnicy, takiej jak ta... a może nawet w dalekim farmerskim miasteczku jak Nowthen.

Frances uśmiechnęła się, po czym zaczęła opowiadać.

Było już po północy, kiedy wyjechała od matki. Rozmawiały tak długo, że niemal zachryły, próbując w ciągu jednego wieczoru nadrobić te wszystkie lata, które straciły nie utrzymując ze sobą bliższych kontaktów, nie rozumiejąc się nawzajem. Obie zaśmiewały się, kiedy Frances opowiadała o różnych wydarzeniach w Nowthen. Śmiały się wyobrażając sobie, jak poważna, przedsiębiorcza kobieta z wielkiego miasta klęczy w oborze. Potem obie płakały przy opowieściach o ojcu, których Frances nigdy przedtem nie słyszała, a w końcu, dzięki temu wszystkiemu poczuły, że rodzi się między nimi nie tylko serdeczniejsza więź matki z córką, ale więź między dwiema kobietami, które wiedzą, co to znaczy kochać mężczyznę.

Kiedy Frances ruszyła w powrotną drogę, rozpadał się drobny kapuśniaczek. Zielone, żółte i czerwone światła na skrzyżowaniach mrugały wesoło nad pustymi ulicami, odbijając się w mokrych chodnikach. Kiedy tak jechała z miejsca swojego dzieciństwa ku lśniącom wysokościowcom centrum, którymi cieszyła się jak małe dziecko, pomyślała sobie, że jeszcze nigdy to wielkie miasto nie wydawało się jej tak piękne.

Wyjadę stąd, pomyślała nagle, a nagłość tej decyzji niemal ją poraziła.

- No, Frances Katharine Hudson - wymamrotała osłupiała - co za niespodziewany wybór! - Spojrzała w lusterko wsteczne i zobaczyła w nim świeżą twarz młodej kobiety, uczesanej w koński ogon, która spoglądała na nią i uśmiechała się. To nie Frances Katharine Hudson dokonała tego wyboru - zrobiła to Frannie.

- Frannie - powiedziała głośno, rozkoszując się brzmieniem tego imienia i zastanawiając się, dlaczego przedtem nie wywoływało w niej takich uczuć. Ludzie, którzy ją dobrze znali, którzy ją kochali, zawsze nazywali ją Frannie - ludzie tacy jak matka, jak Ethan.

Już samo wymówienie tego imienia spowodowało, że nacisnęła mocniej pedał gazu. Zadzwońię do niego, postanowiła. Pędziła przez centrum miasta, ledwie dostrzegając teraz wznoszące się wysoko wieżowce, na których tak długo skupiało się jej życie. Zadzwońię i powiem mu...

Co mu powie? Zmarszczyła brwi i zacisnęła wargi, znalazłszy się w kłopotcie. Serce biło w rytm poruszających się wycieraczek. Już wie. Powie mu, że odwiedziła swój rodzinny dom.

Wychodząc po południu z domu nie zapaliła światła na zewnątrz budynku i teraz już dwa razy potknęła się na mokrej alejce, śpiesząc, żeby dostać się do środka i jak najprędzej zatelefonować. W nocnej ciszy słyhać było tylko deszczową muzykę, delikatny szmer spadających kropli w liściach drzew i monotonne pluskanie tych kropli, które spadały do kałuż. Ale słyhać było coś jeszcze - jakiś szelest w cieniu drzwi wejściowych. Serce skoczyło Frances do gardła. Cień oderwał się od drzwi, rosnąc do przerażających rozmiarów.

- Frannie? - zawołał półgłosem.

- Ethan - szepnęła, a serce waliło jej jak oszalałe. Ethan odsunął się od drzwi i przesączaające się tutaj z oddali światło ulicznej latarni rozjaśniło pasma jego włosów.

- Ethan! - powtórzyła, obejmując wzrokiem przemoczoną od deszczu koszulę, przylegającą do jego piersi, gęste, piękne włosy przylepione

mokrymi pasmami do czoła. Zbliżyła się do niego, szepcząc: - Dobry Boże, jak ty wyglądasz!

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Chwycił ją w ramiona i przyciągnął mocno do siebie. Muskając wargami szyję, szeptał jej imię - jej prawdziwe imię. Klucze wypadły z ręki Frances, kiedy przywarła do niego, drżąc.

- Na Boga, gdzieś ty była? - odezwał się groźnie, starając się nadać swemu głosowi surowy ton, ale zabrzmiało to raczej żałośnie. - Kiedy wróciłem, a ty odjechałaś...

Frances uśmiechnęła się i odsunęła go na długość wyciągniętych ramion, by spojrzeć mu w oczy. Błyszczały teraz niezwykłym blaskiem.

- Pojechałam odwiedzić moją matkę.

Ethan otworzył usta ze zdziwienia, a potem zaśmiał się cicho.

- Ja też! Zawstydziłaś mnie, mówiąc, że nie mam prawa głosić ci kazań o więzi rodzinnej, skoro sam odłączyłem się od swoich bliskich. - Zawahał się, uśmiechając czule. - Oboje straciliśmy mnóstwo czasu, uciekając od miejsca swego urodzenia, prawda, Frannie? Najgorsze jest to, że kiedy ucieka się z jakiegoś miejsca, pozostawia się tam również ludzi, a niektórzy z nich zupełnie na to nie zasługują. Na przykład moja matka.

- Moja też - szepnęła Frannie.

Chwilę stali trzymając się w objęciach i odczytując miłość w swoich spojrzeniach, niebaczni, że krople deszczu bębnią po ich głowach i ramionach, a ubrania są już na wskroś przemoczone.

- Wracam do Bostonu, Frannie - szepnął w końcu Ethan, a kiedy Frances otworzyła usta, żeby wyrazić swoje zaskoczenie, przykrył jej wargi palcem wskazującym. - Nie musiałem nawet zastanawiać się nad

tym. Tego dnia, kiedy wyjechałaś, przekonałem się, że bez ciebie nie mogę pozostać dłużej w Nowthen.

Frances poruszyła wargami i Ethan cofnął dłoń.

- Rozumiem - bąknęła. - Więc przenosisz się do Bostonu.

- Właśnie.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się figlarnie.

- Skoro tak, może chciałbyś nabyć ładny dom w mieście?

Kompletnie umeblowany, pięknie ozdobiony i wyposażony. Styl jest trochę skromny, jak na mój gust, ale...

Schwycił ją w ramiona i ugiął nieco kolana, tak że jego oczy znalazły się na wysokości jej wzroku.

- O czym ty mówisz?

Frances udała niewiniątko.

- Mówię o nadzwyczajnej okazji do nabycia nieruchomości. Ten dom nie byłby w ogóle do sprzedania, gdyby pewna dama, która jest jego właścicielką, nie odbyła wycieczki na północ... - dotknęła palcem kącika ust Ethana - ...gdyby nie spotkała tam pewnego mężczyzny... - mówiła teraz szeptem, obserwując urzeczona, jak chwyta wargami jej palec - ...i zakochała się tak beznadziejnie... - Ethan przyciągnął ją mocno do siebie, a Frances zdołała jeszcze powiedzieć: - A teraz ona nie może dostać się do tego domu.

Ethan oddychał nierówno, a jego oczy były tak pełne blasku, że Frannie przyszło do głowy, że mogłaby zająć się płomieniem, gdyby patrzyła w nie dłużej.

- Nie jestem łatwy w pożyciu, jak wiesz - powiedział z uśmiechem błakającym się w kąciach warg. - Musisz mi obiecać, że mnie poślubisz i

że będziesz mnie teraz zaraz kochać. - Wsunął ręce pod jej koszulkę i delikatnie dotknął piersi.

- Obiecuję - szepnęła.

RS

EPILOG

- Gdzie teraz pojedziemy? - zapytała Frannie, kiedy wyszli z kościoła. Siedzieli przytuleni do siebie na obitym aksamitem siedzeniu w powozie, który ciągnęły dwa białe narowiste konie. Frannie doszła do wniosku, że miarowy stukot kopyt nadzwyczajnie kojarzy się z miarowym biciem ich dwóch szczęśliwych serc.

- Na nasze przyjęcie, oczywiście - uśmiechnął się Ethan. Ubrany był w ciemny garnitur z olśniewająco białą koszulą i wąskim czarnym krawatem, tradycyjny strój weselny większości młodych Amerykanów. Frannie miała koronkową staromodną suknię do ziemi, z krótkimi bufiastymi rękawami.

- Przyjęcie? - zdziwiła się. Poprawiła szerokie skrzydło tiulowego kapelusza, dotykając drobnutkich bukietów delikatnych kwiatków przyszytych do randa. - Nie wiedziałam, że będziemy mieli jakieś przyjęcie.

Ethan cmoknął na konie i uśmiechnął się.

- Wszystkim chodziło właśnie o to, żebyś o niczym nie wiedziała. Całe miasto pracowało nad tym prawie przez miesiąc. Kiedy tylko Elaine i Margaret zaprojektowały całość, wszyscy zabrali się energicznie do pracy. Chcieli zrobić ci niespodziankę. Spójrz. - Wskazał na wejście do parku na wprost.

Łuk kutej, żelaznej bramy ozdobiony był białą jedwabną wstążką i bukietami stokrotek. Szeroki napis na górze głosił: „Najlepsze życzenia dla Frannie i Ethana!”

Kiedy powóz minął bramę, czekający tłum zaczął wiwatować. W tym tłumie widać było drogie znajome twarze - Elaine i Franklina, Margaret, Beth - ale Frannie czuła, że nieznajome twarze też wkrótce staną się dla niej drogie. A więc w końcu przyjechała do domu. Kiedy Nowthen Senior Citizen's Band zaczęła z ożywieniem grać marsza weselnego, Frannie zacisnęła wargi i poczuła, że oczy jej napełniają się łzami.

- Kocham to miasto - szepnęła, a Ethan przygarnął ją mocniej do siebie. Płynęła w tańcu na drewnianej estradzie w pobliżu orkiestry, a Ethan obejmował ją w talii, z wargami tuż przy jej uchu.

Po tym pierwszym tańcu nastąpiła nie kończąca się seria powitań, gratulacji, życzeń i uścisków. Gładko ogoleni panowie kłaniali się jej, jękając się składali życzenia z powagą malującą się na twarzach. Była ściskana przez różne nieznajome osoby, całowana przez ludzi, których ledwie znała, obejmowana przez niezliczoną ilość ramion.

W końcu Ethan i Frannie przestali skupiać na sobie uwagę wszystkich gości i mogli swobodnie usiąść na tej samej ławce, którą za pierwszym razem dzielili w tym parku.

- Spójrz - szepnęła Frannie, spoglądając na najbliższy stolik, przy którym jej matka i Miles zajęci byli poważną, niemal intymną rozmową. Miles powiedział coś, co skłoniło matkę do pochylecia głowy z miękkim, prawie kokieterijnym uśmiechem. Frannie poczuła, jak szczęście przenika jej ciało ciepłą falą. Trąciła Ethana łokciem, ale on patrzył osłupiały na swego akuratnego, konserwatywnego ojca, który z rozluźnionym pod szyją krawatem wywijał ze swoją żoną w rytmie skocznej polki.

Frannie uśmiechnęła się pogodnie, patrząc na tę nieprawdopodobną scenę, wcale nie zaskoczona. Szlachetna bostońska poprawność umierała

w tym miasteczku śmiercią naturalną. Nikt nie wiedział o tym lepiej od niej.

Później, leżąc na pomiętych prześcieradłach, Frannie oparła się na łokciu i obserwowała swego męża śpiącego w złotym kręgu nocnej lampki. Podziwiała prostą, zwyczajną urodę jego rysów, kiedy tak odpoczywał, i niezwykajne znaczenie spełnionej miłości, która może przynieść... zwłaszcza kiedy ona była tak pewna...

Uśmiechnęła się i odwróciła na plecy, przesuając palcami po łonie i wspominając tamtą szczególną - ich pierwszą - noc. Uśmiech stał się łagodny, kiedy delikatnie naciskając palcami, przekazywała pierwsze macierzyńskie pozdrowienie życiu, które powstawało pod jej dłońmi.

- Frannie? - wymamrotał Ethan, zupełnie już obudzony. Odwrócił się na bok i przykrył jej dłoń swoją ręką.

- Czy czujesz to, Ethan? - szepnęła, z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia, że oto tak w końcu wyróżni się w tym świecie.